№ 30. Warszawa, dnia 28 (16) Lipca 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CESARZ WILHELM II.

O ile sądzić można z pewnych zdziwień prasy niemieckiej, Wilhelm II zawiódł ją nieco swoją samodzielnością. Zwłaszcza po pamiętnej przemowie na zebraniu partyi socyalno-chrześciańskiej, kiedy młody książę porównał dziada do wielkiego wodza, ojca— do pierwszego oficera, a kanclerza— do chorążego, za którym Niemcy iść powinny, przypuszczano powszechnie, że monarcha ten będzie — po za wojskową dziedziną swych rządów — uległym Telemakiem wielkiego Mentora. Tymczasem zaraz pierwszy jego krok, o którym dzienniki kanclerskie wspominają bez uniesień, oraz dalsze zamiary odwiedzenia kolejno kilku dworów europejskich wykazują, że Wilhelm II nie chce być prowadzonym na pasku nawet doświadczoną ręką, a przynajmniej, że obecnie uczuwa i objawia energię. Ponieważ zaś ta samodzielność pod wpływem warunków może nie osłabnąć, lecz przeciwnie — wzrosnąć i w takim razie cesarz niemiecki wystąpiłby jako pierwszorzędny czynnik polityki europejskiej, więc warto przypatrzeć się jego charakterowi. Odsłania nam go „szkic z natury," świeżo narysowany przez nauczyciela Wilhelma II, d-ra Hinzpetera *). Oto co nam mówi:

Już w dziecku, którego delikatność skutkiem kalectwa lewej ręki dochodziła aż do słabości, uderzał opór przeciw wszelkiemu naciskowi, wszelkiej próbie nadania jego wewnętrznej istocie jakiejś postaci określonej. Siła etykiety, panującej nad życiem rodzin książęcych, łatwo ukształtowała według przepisanych reguł formy zewnętrzne i narzuciła mu pewne, bardzo często niewygodne, albo nawet przykre uzdolnienia i zwyczaje. Odmierzony chód i stanie, grzeczna mowa i ruchy, rycerskie ćwiczenia, wprawa w językach obcych — wszystkiego tego nauczył się młody książę szybko, gdyż nie zbywało mu na rozumie i zdatności fizycznej, rozwaga zaś wskazywała mu nieuniknioną konieczność poddania się dyscyplinie zewnętrznej. Tem trudniejszem natomiast było owładnięcie jego duchem i nadanie mu pewnego oznaczonego kierunku. Kształceniu umysłu twarda jego natura stawiała najwyższy opór, który przełamywała jedynie surowość i energiczne działanie wszystkich współczynnych powag, dopóki obudzona świadomość nie wpłynęła na jego wolę.

Ale nawet z pod tego, czasami gwałtownego nacisku umiała się wyłamać wewnętrzna istota księcia: rozwijał się według swej natury, wpływy zewnętrzne dotykały go, zmieniały, kierowały, ale nigdy do gruntu nie przerobiły. Od utalentowanej matki przejął niejakie zamiłowanie do sztuki; od liberalnego ojca niechęć do kastowości; od filozofującego nauczyciela skłonności do rozpraw, ale wszystkie te czynniki nie przekształciły go, nie odcisnęły swego znamienia na opornym materyale.

Religii uczył go naprzód pastor liberalny, potem — prawowierny. Zmiana ta nie wywołała w nim żadnego zamętu pojęć. Szczególna właściwość tego w swej drodze niezbaczającego ducha, przyjmującego to tylko, co mu odpowiada, spowodowała, że na użytek własny stworzył sobie swoją wiarę. Na najwyższego naczelnika kościoła jest on zdatny, na przewodnika partyi — bardzo mało.

Z woli rodziców w wychowaniu księcia nadawano przewagę przedmiotom cywilnym nad wojskowymi. Przedsiębrano ku temu wszelkie środki, a przeniesienie go do Kassolu miało ten cel na widoku. Zwiedzał pilnie i badał muzea, fabryki, warsztaty i kopalnie; ale obok zajęcia się życiem studentów i ludu, wzrastało niepomiernie zamiłowanie do wojskowości. Lecz znowu w osobliwy sposób. Śród oficerów poczdamskich przebywał chętnie, ale nie podzielał ich wstrętu do współzawodniczącej z armią marynarki; przeciwnie, publicznymi odczytami o flocie nawracał ich do swoich poglądów. Z zapałem uczestniczył w życiu i dążeniach kół, w których przebywał podczas rozmaitych okresów swego rozwoju, ale nigdy w nich nie utonął i ciągle zachowywał swą samodzielność.

Ostatni smutny rok, rok śmierci dziada i ojca, przyspieszył dojrzałość młodego księcia. W tej porze zaczęły się snuć mity, oplatające jego osobę najdziwaczniejszemi przypuszczeniami; ponieważ zaś chciał być tylko sobą, więc wszystkim nie dogodził.

Obrażenie ciała przy narodzinach pozostawiło mu ułomność w lewej ręce. Ułomność ta była wielką przeszkodą przy ćwiczeniach fizycznych, które nie wydałyby dobrego rezultatu, gdyby im nie przybyła na pomoc silna wola księcia. Było to dla niego przedsięwzięciem wielkiej wagi moralnej, ażeby być wybornym strzelcem, jeźdźcem, pływakiem, nieustraszonym mężczyzną, któryby, w wypadku zamachu na jego życie, mógł sam schwytać i ukarać mordercę. Nigdy jeszcze do armii pruskiej nie wstąpił człowiek, któryby fizycznie posiadał mniej warunków na tęgiego oficera kawaleryi, niż książę Wilhelm. Wyćwiczył się wszakże tak dalece pracą, że gdy dziadkowi przedstawił swój pułk huzarów, wuj jego, surowy krytyk, rzekł jak gdyby z przeproszeniem: „Dobrze — nigdy nie sądziłem."

Widok walki religijnej (kulturkampfu) i jej smutnych następstw umocnił w nim poczucie sprawiedliwości i tolerancyi religijnej. Dokładniejsze, osobiste zbadanie życia

*) *Kaiser Wilhelm II.*

ludu roboczego i porównanie go z wygodą własną, głębsze zajęcie się sprawami społecznemi, ukazało mu potrzebę reform ekonomicznych i wszczepiło ją w jego uczucia.

Nie jest to człowiek zapalony, pobudliwy, ale raczej chłodny i rozważny. Jako pułkownik przeprowadził energiczną walkę przeciwko grze hazardownej, która roznamiętniała i rujnowała oficerów. We wszystkich swych uczuciach umiarkowany. Nawet własna rodzina jest podstawą jego życia, ale go wcale nie pochłania.

Takie są główne rysy tego „szkicu z natury“ Wilhelma II. Nie potrzebujemy dodawać, że kreślił go człowiek, mający dla wychowańca, jako jego nauczyciel, uczucia i względy, które na wyraz ogólny portretu oddziałać musiały. Jest to wszakże wizerunek dość żywy, a jeśli nawet nie wierny, to zawiera linie, które domysł łatwo wypełni.

CHYBIONY ADRES.

Jakie pobudki, a przedewszystkiem, jakie fakty ośmielające skłoniły Koło polskie w Berlinie do przesłania adresu zmarłemu Fryderykowi III — nie wiemy. Prawdopodobnie wywołała go owa tradycyjna a nieuleczalna wiara w moc rozmaitych pajęczyn, do których ciągle przywiązujemy najrozmaitsze, ciężkie złudzenia. Poprostu usnuł się w głowach poznańczyków taki wywód: na tron wstąpił człowiek dobroduszny, ludzki, liberalny, nielubiący żadnych politycznych tępień, więc można i trzeba do niego się odezwać. Rzeczywiście, przez 99 dni, ze śmiertelną chorobą w gardle, śród nieprzyjaznego otoczenia, walcząc ciągle albo z rakiem, albo z intrygą dworską, trudno było przedsiębrać jakąś donioślejszą zmianę w stosunkach państwowych. Ale też Fryderyk III ani jednem słowem, ani jednym czynem nie zdradził chęci zatrzymania maszyny giermanizacyjnej w Poznańskiem. Za jego panowania działała ona z taką samą prawidłowością i mocą, jak za rządów Wilhelma I. Czy wobec tych dowodów, nieznajomości usposobień monarchy i niepewności jego życia należało występować z adresem, który w najlepszym razie mógł otrzymać grzeczne pokwitowanie? Sądzimy, że nie, że wypadało przedewszystkiem czekać z jednej strony ujawnienia się zamiarów monarchy niemieckiego, z drugiej— ustalenia się jego zdrowia. Dopóki bowiem to zdrowie ważyło się między życiem a śmiercią, naturalną koleją adres musiał przejść do rąk tych, które wytworzyły stan obecny i strzedz go pragną.

Tak się stało. Fryderyk III dogorywał— adres oddano kanclerzowi. Dopiero teraz ogłoszono nadesłaną nań odpowiedź z podpisem — ks. Bismarka, przemawiającego w imieniu ministeryum a z polecenia króla. Oświadczono tedy posłom: że monarcha nigdy nie wątpił o lojalizmie swych pruskich poddanych narodowości polskiej, że mimo to cieszy się z wyrażenia tego lojalizmu, będącego odbiciem uczuć większości społeczeństwa; że rząd ma nadzieję, iż polacy wdzięczni mu będą za dobre urządzenie stosunków państwowych, a ich posłowie przyjmą udział w pracach mających na celu dobro monarchii.

Tyle.

Za Wilhelma I nie odpowiedziano by mniej, bo i wtedy odpisywałaby ta sama ręka. Przypuszczamy, że hr. Bniński odebrawszy z Berlina takie pismo, zrobił kwaśną minę i zaraził nią swych towarzyszów, z którymi pozwolono mu niem się podzielić. A kto winien w tem rozczarowaniu? Doprawdy sami autorowi adresu, którzy oparli go na iluzyi, na marze. Ponieważ on im w żadnym razie nie mógł przynieść natychmiastowej korzyści, czemu z nim tak się spieszyli? Czemu nie zaczekali na taką chwilę, w której by podobny krok miał jakiekolwiek znaczenie polityczne? Oni sądzili, że zwracając się do Fryderyka III, ominą Bismarka, tymczasem ów Bismark, zastępujący chorego monarchę, im odpowiedział. A można sobie wystawić, z jaką rozkoszą to czynił, z jakim uśmiechem pisał: „Jego Królewska Mość ma nadzieję, że polacy wdzięczni będą za dobre urządzenie stosunków państwowych.“

Wogóle był to pomysł tak poroniony, że zaznaczywszy go dawniej ogólnikową wzmianką, nie mieliśmy zamiaru mówić o nim szczegółowiej. Jeżeli dziś poświęcamy mu słów parę, to tylko dlatego, że zajął on uwagę prasy naszej, a niektóre pisma polskie zagraniczne z taką powagą i wysiłkiem swej wiedzy ustalają tekst adresu i odpowiedzi, jak gdyby chodziło o fakt w przeszłości ważny a na przyszłość wpływowy. A on ani pierwszym nie był, ani drugim być nie może.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Naturalnie odwiedziny cesarza niemieckiego pochłaniały przez cały tydzień ubiegły uwagę polityków. Jak głoszą gazety, spotkanie było badzo serdeczne i przeciągnęło się nawet po za plan pierwotny. Prasa, która początkowo uważała podróż Wilhelma II za akt osobistej grzeczności, widząc, że hr. Herbert Bismark nie był włączony do orszaku dla parady i że miewał długie rozmowy z dyplomatami ruskimi, zmieniła nić swych domysłów i teraz już nie wątpi; że okręty niemieckie wiozły do zatoki Fińskiej wiązkę zaofiarowań i żądań. Jakich, które przyjęto i co za nie dano — to na długo pozostanie tajemnicą a w chwili obecnej tylko drażni ciekawość świata i rozpala wyobraźnię „dobrze poinformowanych“ dzienników, które zaczną mu opowiadać przeróżne bajki.

---

3)

Z tajemniczego świata.

V. Nosorożce.

Krajobraz — opowiada Thomson—przedstawiał ciągle tenże sam widok bogatego, bezleśnego stepu. W nadziei zaopatrzenia naszej spiżarni, poszedłem z Songorem naprzód. Oddaliliśmy się już o dwie godziny drogi w kierunku północnym, a o 100 kroków postępowaliśmy przed karawaną, upajając się świeżem powietrzem i wspaniałym widokiem. Nagle drgnąłem, huknęły dwa strzały. Obejrzawszy się, spostrzegłem nosorożca, który leżał spokojnie w trawie i zauważył naszą obecność wtedy dopiero, kiedy część naszych ludzi go minęła. Ociężało powstając ze snu, gotował się do uderzenia na karawanę. Jego groźne parskanie przeraziło ludzi, a niektórzy z nich zaczęli uciekać. Zaczęto zwijać i rozwijać „komas,“ czyli święte chorągwie, przewodniczące każdej karawanie, dla zaklęcia i odstraszenia złego ducha. Lekceważąc tę moc czarodziejską, rozgniewany zwierz fuknął i ze spuszczoną głową rzucił się na niosących sztandary. Ci stanęli, ufni w siłę nadprzyrodzoną swych chorągiewek; widocznem jednak było, że za chwilę ogarnie ich popłoch. Wtedy Muhiuna strzelił — nosorożec cofnął się i pobiegł przed karawanę. Ale jeszcze raz zwrócił się, gotów do napadu. Wówczas właśnie chwyciłem za fuzyę, ale nie mogłem strzelić, gdyż zwierz był między mną a ludźmi. Gdy ci w rozsypce zaczęli umykać ku mnie, przykląkłem, czekając dobrej sposobności; nosorożec zaś, mając uwagę zaprzątniętą krzykami, nie spostrzegł mnie w trawie, a kiedy zboczył nieco, z odległości 30 kroków strzeliłem: kula trafiła go przy kości pacierzowej — upadł zwolna, ale skoro otrzymał drugą, zobaczył, skąd przyszła, dźwignął się i pospieszył ku mnie. Nie miałem nabojów, niósł je Songoro, który zmykał. W ciężkich butach i wysokiej trawie nie mogłem myśleć o ucieczce i postanowiłem walczyć. Krzyknąłem więc z całych sił na Songora i pobiegłem za nim. Stanął — porwałem nabój i odwróciłem się do mojego wroga, który dążył za mną. Chwila pospiesznego nabijania wydawała mi się wiekiem. Zwierz zbliżył się na pięć kroków. Zebrałem całą przytomność, wobec niebezpieczeństwa byłem dziwnie chłodny i skupiony, nie czułem najmniejszego drgnienia w nerwach. Ludzie umilkli w przerażeniu, czekając z zapartym oddechem, kiedy wyrzucony zostanę w powietrze. Gdy nosorożec mnie mijał, strzeliłem mu za uszy — odskoczył, a widząc Songora w białem ubraniu, pogonił za nim. Ponieważ drużyna nasza podniosła krzyk, chłopiec, w mniemaniu, że go zwierz dogania, odwrócił się i strzelił z mizernego rewolweru. Ale nosorożec porzucił go i zmienił kierunek, widocznie słabnąc. To dodało otuchy karawanie, która otoczyła go, osypując strzałami — chybionymi. Nakoniec z utraty krwi od kul moich padł martwy. Rogi jego były największe, jakie kiedykolwiek zdobyłem — przedni miał 58 cm. długości.

Nie czułem ochoty raz jeszcze narażać życia mojego w polowaniu na te straszne zwierzęta; dałem się wszakże wyciągnąć z namiotu moim ludziom, dla których tego rodzaju wyprawy były ucztą, a moje niebezpieczeństwo obchodziło ich mało. W licznem towarzystwie tragarzów i handlarzów, którzy byli chętnymi świadkami, udałem się, wziąwszy strzelbę ośmiokalibrową, podczas gdy Brahim niósł drugą. Spostrzegłem nosorożca w odległości pół kilometru — była to samica z dzieckiem. Uczułem odrazę do zabijania jej — i gdyby nie mój natrętny orszak, powróciłbym do namiotu. Bo czemże wobec tych ludzi mogłem się usprawiedliwić? Czy po tylu zachwałych przedsięwzięciach miałem narazić się na posądzenie o tchórzostwo? Wolałem zaryzykować życie. Zwierzę pasło się na równinie, na której nie było ani krzaczka, mogącego służyć za osłonę. Kiedym je obchodził dla zwrócenia się pod wiatr, spostrzegłem, że legło w wysokiej trawie a tym sposobem uprościło mój plan. Ciągle nie odstępowało mnie złe przeczucie, drżałem, jak gdyby strumień zimnej wody spływał mi po plecach. Niby węże podpełzaliśmy cicho z Brahimem, nie zdradziwszy naszej obecności najmniejszym szelestem; tylko w wytężonym słuchu uderzenia serc odbijały się jak odgłosy bębna. Niemal dusiłem się zatrzymywanym oddechem. Czułem, że nie

Pewne zdziwienie podczas zjazdu wywołały zmarszczone brwi kanclerza niemieckiego za kolumnami *Nordd. Allg. Ztng.* Pismo to po kilkakroć podejmowało w tej porze walkę z gazetami ruskiemi, a raz nawet zdradziło ostry ton i zaprzeczyło pogłosce, jakoby miał być cofnięty zakaz przyjmowania pieniężnych papierów ruskich w bankach niemieckich. Czy dąsy te były udane dla złudzenia Austryi, czy szczere dla nadania podróży cesarza charakteru czysto osobistego — orzec trudno. Znamiennie przytem zachowywał się kurs rubla: podniósł się słabo i jak tylko okręty niemieckie wypłynęły do Stokholmu, spadł natychmiast.

Zauważyliśmy w jednem z poprzednich numerów *Prawdy*, że wyprawa Wilhelma II określi swoje znaczenie dopiero po jego powrocie. Powrót ten już nastąpił, ale my tylko zapisywać możemy przebieg zewnętrzny, jak widz w zakładzie fotograficznym, który wie, że zdjęcia dokonano, ale nie wie, czy się udało. Objaśni o tem interesowanych dopiero fotograf, gdy wyjdzie z ciemnicy—jeżeli w tym wypadku zechce.

W Kijowie odbył się uroczysty obchód 900 rocznicy chrztu Rusi za panowania Włodzimierza. Fakt ten nie był jedynie religijnym, lecz także politycznym, gdyż pojedyncze plemiona i księstewka zaczęły jednoczyć się pod wspólnem berłem. Legenda kronikarska opowiada, że Włodzimierz długo namyślał się i ważył rozmaite religie, że wysyłał w tej sprawie posłów, aż nareszcie zdecydował się na chrześcianizm. Krytyka wszakże odsłania w jego zamiarach dobrze i praktycznie obmyślany plan polityczny, którego ostatecznym wynikiem była zwycięzka walka z koloniami greckiemi i małżeństwo z siostrą cesarza bizantyńskiego Anną. Mieczem, krzyżem i związkami założył podwaliny przyszłego państwa, które po jego śmierci znowu się rozpadło, ale w budowie swojej już miało bardzo silną spójnię. Na uroczystość tę zjechali się przedstawiciele prawosławia z rozmaitych krajów a nadto połączono z nią odsłonięcie pomnika dla Bogdana Chmielnickiego.

Boulanger tyle razy się grzebał i tyle razy wystawiano mu świadectwo śmierci, że niepodobna powiedzieć, czy dobrze wróżą gazety, głosząc, że jego porażka przy urnie wyborczej w departamencie Ardèche jest już końcem karyery bezczelnego warchoła. To tylko pewna, że on silnie nadwyrężył swój kredyt moralny, że odsłonił swą nicość, że zdemaskował swoją obłudę republikańską i stanął jako najmita bonapartyzmu lub wreszcie jakiejkolwiek partyi, któraby mu chorągiew powierzyć chciała. Przyjaciele opadają z drzewa bulanżyzmu, jak robaczywe gruszki pod dmuchnięciem wiatru, a wiatr ten silnie ich otrząsa. Krzyki zapału dla ex-generała bądź milkną, bądź przechodzą w gwizdania i kocie muzyki. Przyznać trzeba, że do pokonania tego maniaka, czy oszusta, wielce przyczynił się Floquet swoją energią, odwagą, rozumem i — co we Francyi wiele znaczy — siłą języka.

Z zawiadomieniem o wstąpieniu na tron Wilhelma II pojechał do Londynu generał Winterfeld. Królowa, która nie mogła zapomnieć krzywd wyrządzonych jej córce i zięciowi, przyjęła posła bardzo chłodno i zapytała go, kiedy — zamierza wyjechać. „Jeśli Jej Królewska Mość nie ma mi nic więcej do rozkazania — odrzekł, zrozumiawszy to pytanie generał — to zaraz.“ Nie miała mu nic więcej do rozkazania.

Podobno król Milan, którego rozwód pokutuje między synodem i konsystorzem, objawił chęć zrzeczenia się go, jeśli żona przyjmie jego warunki, tj. przedewszystkiem zaniecha polityki i oddali swych doradców.

Zapewne zjazd monarchów oddziałał na wewnętrzne stosunki Bułgaryi, bo słyszymy, że Stambułow zaczął porozumiewać się z Cankowem.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z ANGLII.

„Od wieków chlubi się Anglia wobec stałego lądu, a mianowicie Francyi, tą wyższością swoich przeznaczeń, że nie krwawemi wstrząśnieniami, lecz powolnym, prawidłowym biegiem zdobywała sobie coraz nowe stadya kultury politycznej, że jej ruch postępowy głównie szedł drogą ewolucyi, nie rewolucyi“ *). Stan czwarty, który we Francyi pierwszym był we wszystkich zaburzeniach, tutaj zachowywał się spokojnie, a związki jego, dobrze zorganizowane, miały na oku nie wywalczanie swobód politycznych, jeno interesy ekonomiczne. Stąd równość robotnicza w Anglii przez długi czas niedostępną była wszelkim ruchom społecznym. Pobożni a zachowawczy doktrynerzy stałego lądu stawiali ją za wzór wszędzie i zawsze, gdzie i kiedykolwiek mogli.

Wprawdzie pojawili się w pierwszej połowie tego stulecia w brytańskiej krainie oweniści, którzy odgrywali tu taką samą rolę, jak we Francyi saint-simoniści i fourierzyści. Podobnie bowiem, jak hr. Saint-Simon i Fourier, był i anglik Owen jedynie filantropijnym marzycielem, którego mała garstka wyznawców składała się nie z robotników, lecz z przedstawicieli mieszczaństwa. Oweniści odsunęli się nawet od słynnych chartystów, a to dlatego, że uważali ich za szermierzy politycznych, nie zaś za ludzi, pragnących polepszenia doli robotniczej.

I w samej rzeczy, t. z. „sprawa karty ludu“ (the peoples charter), mimo iż brali w niej udział przeważnie sami robotnicy, była ruchem czysto politycznym. Początek do niego dało stronnictwo radykalne, które powstało w Anglii z powodu amerykańskiej wojny o niepodległość. W 1837 r. wystąpiło ono z „kartą ludu,“ ułożoną przez Williama Loretta. Z sześciu jej punktów jeden tylko zawierał wymagania, będące podstawą prawdziwie ogólnego, ludowego parlamentu, mianowicie: głosowanie powszechne, parlamenty roczne, tajne wotowanie gałkami, zniesienie kwalifikacyi własnościowej, jako warunek wybieralności, płaca członków izby. Zapewne miały olbrzymie tłumy, które „kartę“ wywiesiły jako swój sztandar bojowy, i inne dalej idące pragnienia; przywódcy przecież na razie zdołali im wmówić, że osiągną wszystko, skoro zdołają przeprowadzić „kartę ludu.“ Na prośby tedy związków robotniczych o poparcie ich projektu do prawa o pracy dzie-

*) K. Lewald, *Historya XIX w.*, str. 244.

---

będę zdolny strzelać, jeśli nie opanuję osłabiających mnie wrażeń. Ale z prostego wstydu i bezmyślnego uporu postanowiłem iść dalej. Powoli przybliżaliśmy się do zwierzęcia na 15 kroków. Teraz opuściło mnie przygnębienie a ogarnęła niecierpliwość. Znowu czułem odwagę. Posunęliśmy się jeszcze o 5 kroków dalej, ciągle niewidzialni. Nagle małe powstało, zaczęło biegać i wietrzyć. Z początku chciałem strzelić, ale ponieważ małe nie spostrzegło mnie, więc upadłem w trawę. Po chwili podniosłem się; między nami stało drzewo, które mogło być pożytecznem w odwrocie, za nie więc chciałem popełzać — chociaż tylko o dwa kroki było oddalone od nosorożca— i stamtąd strzelić. Sekundy wydawały mi się godzinami, nakonice osiągnąłem cel. Odpocząłem, ażeby zapanować nad sobą. Należało teraz działać, zwłaszcza że zwierzę leżało pomyślnie dla strzału. Uniósłszy się nieco i odgarnąwszy trawę, wymierzyłem ze spokojem, który mnie samego zadziwił, i strzeliłem. Gdy wielka kula przebiła zwierzę, zerwało się ono na nogi, pobiegło kilka kroków i skręciło prostopadle. Strzeliłem ponownie a zarazem chwyciwszy od Brahima drugą fuzyę, ugodziłem małe; oba padły i oblały krwią ziemię. Zdaleka stojący świadkowie wydali okrzyk. Podczas gdy Brahim obdzierał zwierzęta, wróciłem do namiotu — niezadowolony.

VI. Bawoły.

Okolica—pisze Speke, który raz nad górnym Nilem spotkał 5 bawołów, 5 żyraf i wiele antylop — była podobna do parku. Podsunąłem się naprzód do antylop, ażeby zobaczyć, czy są podobne do tych, które upolowałem w Usagra; ale ruchliwe żyrafy zbudziły popłoch, skutkiem którego wszystkie zwierzęta uciekły z wyjątkiem dwu bawołów. Ku tym więc posunąłem się z jedną strzelbą, pozostawiwszy służbę i dzikich. Doszedłem wysoką trawą na 40 kroków, zaczekałem chwilę na łysowatem miejscu i strzeliłem do większego. Skoczyły do owego miejsca, obwąchały je, szukając nieprzyjaciela i potrząsając rogami, podczas gdy ja szybko przyległem do ziemi. Jeden krwawił, drugi kręcił się i tropił. Obserwowałem go bacznie i powoli nabiłem strzelbę. Wymierzyłem do zdrowego, ale gilza zawiodła i zdradziła mnie: bawoły spojrzały w moją stronę, zdrowy wietrzył i potrząsał rogami. Po kilku minutach odeszły. Ponieważ noc zapadała, musiałem polowanie odłożyć do dnia następnego. Nazajutrz, goniąc stado innych, znaleźliśmy bawołu dogorywającego.

Siedziałem na krześle w obozie naszym— opowiada Thomson — i piłem kawę, gdy nagle usłyszałem wokoło gwałtowny ruch. Mimowolnie chwyciłem za strzelbę. Ludzie biegali na wszystkie strony, jak gdyby ich ziemia pochłonąć miała: niektórzy wdrapywali się na drzewa, inni kryli się za krzakami. W powietrzu brzmiały urywane krzyki trwogi. I mną ten popłoch owładnął, a gdy daremnie odgadywałem jego przyczynę, jeden z moich ludzi zawołał: *bwana! bwana!* Gdzie? — spytałem, patrząc w kierunku zamieszania i chroniąc się za drzewo. W tej chwili zabrzmiał ostry, przeraźliwy krzyk, a tuż po nim ujrzałem człowieka, wylatującego w górę jak rakieta i bawołu wyskakującego z zarośli. Człowiek upadł z trzaskiem w krzaki a byk rzucił się ku niemu. Zanim przybiegłem na pomoc, zagrzmiała salwa strzałów, które miały tylko ten skutek, że bawół zawrócił się i wpadł do obozu. Wielu ludzi znajdowało się zewnątrz, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, zawołaliśmy więc na nich, ażeby się strzegli. Powstał okropny zamęt; jeden z osłów, objuczony, nie mógł uciec: bawół porwał go na rogi i wraz z ładunkiem rzucił w powietrze, jak pies szczura. Niezadowolony tem, rozgniótł go, zmiażdżył i podarł na kawały. Następnie ukrył się w blizkich zaroślach. Osaczyliśmy go jak gromada ogarów, wystawieni na niebezpieczeństwo nietylko wściekłego, dziwnie zwinnego zwierza, ale od naszych własnych strzelb, które grzmiały bez celu i ładu. Bawół kilkakrotnie wybiegał na brzeg krzaków i cofał się. Zaszedłem mu z tej strony, z której prawdopodobnie zamierzał się wydostać. Niedługo czekałem: ozwał się ryk, trzask gałęzi a potem olbrzymi byk. O dziesięć kroków strzeliłem; kula ugodziła go, gdyż potknął się, upadł, ale znowu powstał i wrócił do zarośli, otrzymawszy jeszcze jedną kulę.

Bitwę uważaliśmy za wygraną, bawół bowiem, ciężko ranny, musiał skończyć; ale w chwili, gdy opowiadaliśmy sobie szczegóły natarcia, zagrzmiał straszny krzyk.

sięciogodzinnej, na nawoływania ligi przeciw prawu zbożowemu, która chciała pozyskać chartystów dla zasad wolnego handlu, odpowiadali ci ostatni zawsze jednem i tem samem hasłem: „Naprzód karta, karta, a potem dopiero inne reformy.“

Nie rozszerzymy się dalej nad dziejami tego ruchu, nad losami jego przywódców, którzy jak np. kwakier Nurge, odrzucali ofiarowywane im znaczne sumy za odstępstwo, a woleli żyć w nędzy i działać dla ukochanej przez się idei. Musimy jednak zaznaczyć, że właśnie klęska, jaką chartyzm w końcu poniósł, stała się powodem, dla którego robotnicy angielscy później porzucili samodzielną politykę. Wszelkie ruchy społeczne były dla nich obojętnymi, oparłszy się na związkach robotniczych zapobiegliwie chodzili około interesów materyalnych.

Zwolna przecież prądy, które wstrząsały robotnikami stałego lądu, zaczęły przebiegać i krążyć wśród związków angielskich. W szóstym i siódmym dziesiątku lat daje się to już widzieć wyraźnie. Nadto w drugiej połowie siódmego lat dziesiątka przybyła inna okoliczność, która uczyniła wyłom w dotychczasowej martwocie stanu czwartego. Okolicznością tą było pogorszenie ogólnych stosunków ekonomicznych. Dobrobyt się zmniejszał, bankructwa następowały szybko, bo Anglia straciła znaczną część swego rynku wywozowego. Straty te dały się we znaki najprędzej i najdotkliwiej robotnikom. Kasy związków nie mogły zaspokoić wszystkich żądań swych członków, którzy nagle utracili prawo do pracy. Ażeby choć w części pokryć niedobory, podniesiono wkładki. Wtedy odpadli wszyscy ci członkowie, którzy nie byliby w stanie ich uiszczać. Związki przestały reprezentować ogół robotniczy. Dzisiaj należy do nich około 700,000 robotników najbogatszych i najlepiej płatnych.

Z każdym dniem atoli zachmurza się horyzont przyszłości i tych ostatnich. Nadmiar robotników niezorganizowanych, łaknących chleba, a więc podejmujących pracę za byle jaką cenę, przyczynia się do zmniejszenia zapłaty wogóle. Nadto wszystkie bezrobocia, urządzano przez związki, nie powiodły się z powodu współzawodnictwa robotników niezorganizowanych. Te niepowodzenia zaś jeszcze bardziej wyczerpały zasoby kas związkowych, które dzisiaj stoją nad brzegiem bankructwa. Zwątpienie ogarnia coraz szersze koła. Widzą one jasno, że w dzisiejszych stosunkach ekonomicznych robotnik coraz chyżej stacza się w otchłań bezmiernej nędzy.

To przekonanie, te obawy, odzywają się głośno na corocznych kongresach związków robotniczych. Ażeby choć w małej cząsteczce na razie złemu zapobiedz, postanowiono dotąd nie powierzać obrony interesów stanu czwartego przedstawicielom mieszczaństwa. „Musimy wysłać do Izby gmin samodzielnych i prawdziwych naszych przedstawicieli!“ — wołają mówcy, a słowa ich znajdują gorący oklask słuchaczów. W tym celu powołano do życia „związek robotniczy,“ w którego programie znajdujemy żądanie przejęcia ziemi na rzecz państwa.

Obecnie związek ów posiada w Izbie kilku posłów. Ci przecież nie tworzą osobnego klubu, lecz należą do stronnictwa Gladstona. Ale z chwilą, kiedy większa liczba osiągnie mandaty, nie zawahają się i oni przed tym krokiem. Nie można zaś wątpić, że chwila ta nastąpi niebawem. Najbliższe wybory wyprowadzą kandydatów robotniczych w wielu a wielu okolicach Anglii. Przemawiają za tem już dzisiaj rezultaty wyborów dopełniających.

Na zakończenie wspomnimy jeszcze i o innych związkach, które gęstą siecią pokryły państwo trzech królestw zjednoczonych. I tak istnieją jeszcze: *Social Democratic Federation*, *Fabian Society* i *Socialist League*. Dwa pierwsze były dawniej wolnomyślnymi klubami, których członkowie schodzili się na tak ulubione w Anglii rozprawy ustne; League jest gałęzią pierwszego związku, mającą tylko nieco ostrzejszą taktykę postępowania. Każdy z tych związków nadto rozporządza jednym lub większą liczbą organów, zapomocą których rozszerza swe zasady. Miesięcznik p. t. *Cur Corner*, popierany przez Fabian Society, redaguje kobieta, Anna Besant. Czasopismo to liczy czytelników na tysiące.

Krótki ten i niezbyt dokładny szkic ma na celu objaśnić naszych czytelników, iż w starej Anglii nie wszystko idzie po staremu. Twierdzenie, że w Izbie gmin dwa tylko zasiadają stronnictwa, wigowie i tory, si, już dzisiaj nie jest zgodne z prawdą, wkrótce zaś stanie się przestarzałym i śmiesznym anachronizmem.

N.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

Nowy teatr i jego historya. — Konkurs na projekt budynku teatru. — Konkurs na sztukę ludową. — Konkurs na profesora uniwersytetu. — Samowola. — Zakopane.—*Noblesse oblige*.—Z wystawy obrazów. — Poseł Biliński przed wyborcami. — Wabienie cudzoziemców. — Bezrobocie.

Z chwilą, kiedy odczwano się, że dzisiejszy teatr przy placu Szczepańskim za szczupły dla pomieszczenia publiczności a za szpetny dla oka „przejezdnych,“ ukazała się broszura p. t. *Czy potrzebnym jest nowy teatr w Krakowie?* Po wyczerpaniu nakładu dowiedzieliśmy się, że istotnie nowy teatr jest pierwszą naszą potrzebą, a kłopotem, gdzie go postawić, przyszła w pomoc znowu brosz. p. t. *Gdzie postawić nowy teatr?* Wszystko to jednak było już bardzo dawno. Wodociągi wysunęły się na pierwszy plan a przedsiębiorca teatru rozszerzał ściany w myśl pieśni Pola na przyjęcie gości.

Kiedy nareszcie w radzie miejskiej sprawę tę poddano obradom, uchwalono zburzenie poszpitalnego domu przy placu św. Ducha, który oddawna już szpecił miejsce i groził upadkiem. Grunt ten wybrano jako najodpowiedniejszy pod fundamenty nowego gmachu. Tymczasem — jak u nas mówią — co się nie dzieje? Archeologowie z urzędu, z manii, szyku i dobrej wiary, złączywszy się w silną jedność, wystosowali pismo do rady, domagając się w imieniu archeologii, manii, szyku i dobrej wiary zaniechania burzenia rudery, jako cennego zabytku budownictwa staropolskiego. P. Łepkowski zwołuje nadto konserwatorów wiedeńskich, którzy, przybywszy na miejsce, oświadczają, że owa przyczyna nagłej a niespodziewanej śmierci musiała być już

Oglądam się i widzę, że jednego z naszych ludzi bawół tratuje. Najbliżej stojący Makatubu przyskoczył, strzelił mu między oczy i tym sposobem odpędził.

Postanowiłem walkę zakończyć. Wraz z Brahimem i Makutubu weszliśmy w zarośla; były one wszakże tak gęste i cierniste, że tylko na czworakach i to za śladem bawołu można było w nie się wedrzeć. Pełzaliśmy tą drogą ze stłumionym oddechem i zaostrzonym wzrokiem; wkrótce wszakże przekonałem się, że nic nas nie uratuje, jeśli zwierz napadnie. Wycofałem moje życie z tej gry — ale dwaj towarzysze zostali, chcąc koniecznie być świadkami śmierci bawołu.

Wróciwszy do obozu, zająłem się naprzód opatrzeniem ran rozbitego człowieka. Przy tym opatrunku ciągle słyszałem strzały w zaroślach. Nareszcie Makatubu i Brahim przybiegli z głową bawołu: kość czołowa miał formalnie roztrzaskaną, jedno oko wystrzelone, a rozmaite dziury wskazywały, którędy nieszkodliwe kule przelatywały do jego czaszki.

Razu pewnego omal sam Thomson nie padł ofiarą swej zuchwałości. Postanowiłem — mówi on — coś upolować dla naszej spiżarni. Z tym zamiarem szedłem na czele karawany. Przez trzy godziny brodziliśmy po wysokiej trawie i lesie. Nareszcie dostrzegliśmy kilka bawołów. Podpełzawszy na 50 kroków, posłałem jednemu kulę. Ponieważ uciekał, dopędziłem go i ugodziłem go drugą. Nic padł, strzeliłem ponownie — w głowę. Ta poskutkowała — zwalił się. Sądziłem, że skończy, i sądziłem słusznie, ale nie powinienem był do niego się zbliżać. Z bezmyślną nieroztropnością, wziąwszy fuzyę pod ramię, poszedłem ku niemu. Daremnie towarzysz ostrzegał mnie przed niebezpieczeństwem, a gdybym nie był zupełnym głupcem — co zresztą najmądrzejszym ludziom się zdarza — zrozumiałbym, że bawół ma jeszcze dość siły, ażeby mi wypłatać figla, zwłaszcza że trzymał głowę podniesioną i zachowywał postawę wyzywającą. Dopiero o sześć kroków ujrzał mnie; ryknął, powstał na nogi, dysząc straszliwą zemstą. Mimowoli zacząłem uciekać, chociaż mniemałem, że to farsa. Trwała krótko, widziałem Brahima biegnącego przedemną, słyszałem za sobą jakiś trzask, uczułem, że mnie coś chwyciło za biodra i że wylatuję w powietrze... Potem już tylko pamiętam, żem leżał na ziemi niewidomy i potłuczony, oraz że coś niezwykłego ze mną się stało. Podniosłem zbolałą głowę i ujrzałem o trzy kroki bawołu, pilnującego swej ofiary, nad którą już nie miał ochoty pastwić się. Nie doznawałem żadnej obawy, tylko pomyślałem sobie: jeżeli teraz do mnie przyjdzie, zakończy chyba. Jak gdyby ta myśl pobudziła go, dostrzegłszy zapewne we mnie znak życia, odsapnął straszliwie i postąpił. Ogłuszony i rozbity nie mogłem już walczyć. Poprostu więc wcisnąłem głowę w trawę i czekałem, aż mnie rozmiażdży. Ale w tej chwili huknął strzał. Bawół odwrócił się. Tak niespodziewanie ułaskawiony z wielkim wysiłkiem odsunąłem się na bok. Przy dotknięciu bioder uczułem coś ciepłego i wilgotnego— krew; dalej badając, odnalazłem głęboką dziurę. Jednocześnie zagrzmiały strzelby i zwierz poległ.

Traciłem przytomność. Kiedy towarzysze nadbiegli, chciałem ich uspokoić i stanąć na nogi, ale zemdlałem. Na szczęście, przez pokaleczeń jednej strony ciała, którą upadłem, nie poniosłem większego szwanku: żeber nie miałem połamanych.

VII. Słonie.

Warunki nam nie sprzyjały — opowiada tenże podróżnik—gdyż około słonia nie było ani jednego krzaczka, który mógłby nam służyć za osłonę. Ponieważ wszakże stał on głową zwrócony pod wiatr, mogliśmy więc podchodzić go łatwo małem wgłębieniem gruntu. Słoń kręcił się, objadając krzaki; ile razy więc ku nam odchylił głowę, musieliśmy padać na ziemię, ażeby nas nie dostrzegł. Jakkolwiek to podkradanie się było bardzo zajmującem, często jednak dziwnego doznawałem uczucia na myśl, że znajdujemy się tuż przy Goliacie świata zwierzęcego, który, gdyby nas odkrył, daremnie byśmy w tej pustyni szukali ratunku. Zbliżyłem się wreszcie na 10 kroków. Drżąc czekałem, aż zwierz wykręci się pod prostym kątem ku mnie. Po chwili strzeliłem — słoń chrząknął, gdy kula wbiła się w jego ciało. Nieco wszakże zboczyła i ominęła serce. Zaczął uciekać — strzeliłem jeszcze trzykrotnie. Wtedy zwierz obrócił się na nas. Chociaż uważałem się za zgubione-

bardzo dawno budowana i tem samem oświadczają się za jej nietykalnością. A kiedy już obcy i to z Wiednia nie każą burzyć, stanąłby na tem miejscu nowy teatr chyba po trupach archeologów. Znając upór tych panów szczególnie w przedmiocie błahym, wiedzieliśmy, że przyjdzie do utarczki, w której będą drzewcem wymachiwać nie tyle zwolennicy dobra ogólnego, ile stronnictwa krakowskie. Przypuszczenia w części nie zawiodły. Hr. Tarnowski — mówiąc językiem przypominającym proch — wytoczył najcięższe działo, puszczając race naprzemian z kartaczami. Mówił: „Nie mam zamiaru, ani nadziei wpłynąć na postanowienia panów, ale zabieram głos jedynie dlatego, by nie powiedziano, że ta sprawa nie znalazła obrońcy. Nieraz oblężona twierdza wie, że się nie obroni, ale nie kapituluje, tylko strzela do ostatka. Niechże i te mury nie poddają się bez strzału." Szkoda prochu, pan profesor tak nim szafuje, jak gdyby go wynalazł. Prawdziwie śmiech bierze, słuchając owych przemówień, odbiegających od przedmiotu, o którym i mówić nie warto a mających za cel ostateczny reklamę i draśnięcie przeciwnika—w stronnictwie politycznem. Następnie przemawiał p. Romanowicz, poczem znowu p. T. w sprawie osobistej, rzymskiej, paryskiej, reichenbergskiej i tych, o których wie jedynie św. Duch. Walczono w jego interesie, ale nie pod jego wezwaniem. Archeologowie, którzy posunęli się do żądania odbudowy na nowo tego gmachu, kosztem 400,000 zlr., sprawę przegrali i gmach nowego teatru stanie przy placu św. Ducha.

Równocześnie ogłasza rada miejska konkurs międzynarodowy na projekt teatru, zachęcając obietnicą trzech nagród od 2,000 do 750 zlr.; na członków komitetu oceniającego zaproszono pp. Hochbergera, Zacharjewicza z Lwowa, Zydeka z Pragi, Hasenauera i Koźmiana z Wiednia. W trop za tem ogłosił p. Rzewuski konkurs imienia Anczyca na sztukę ludową, przeznaczając na nagrody kapitał zebrany drogą składek; o bliższych szczegółach powiadomiła *Prawda* w poprzednim numerze.

Konkurs na profesora uniwersytetu będzie ostatnim z tych, jakie zrodziły się z upałów letnich. Dr Adamkiewicz, zajmujący katedrę patologii ogólnej i doświadczalnej, wniósł prośbę o uwolnienie go i nie cofnął jej mimo gorących próśb studentów. Jako powód ustąpienia podaje bezskuteczność kołatań do ministeryum o udzielenie kilku łóżek w klinice dla chorych w zakresie jego wykładu. Po za tą przyczyną dla oka i urzędu leży inna jeszcze, licująca zupełnie ze stosunkami na tutejszej wszechnicy. Zaszczytny i intratny urząd dziekana wydziału przypada dorocznie w udziale profesorom zwyczajnym, dla uniknięcia zaś możliwych niesnasek postanowiono obdarzać tą godnością kolejno profesorów, zachowując porządek lat służby. W regule p. Adamkiewicz został wyjątkiem, uważano go za królika, na którym bezpiecznie robić można doświadczenia. W tym roku kolej przypadała również na niego, więc został wybrany dziekanem—dr Rydygier. Przedstawiciel wydziału miał zasługiwać na poważanie i przyjaźń kolegów, sława jego ma być dobrą, tak mówią profesorowie i wyborem rzucają obelgę.

Nie myślę bronić pokrzywdzonego, bo nie znam jego przewinień; wiem tylko, że w zakresie swojej umiejętności nie pominął żadnego działu, nie zbogaciwszy go teoryą, doświadczeniem lub żmudnem badaniem; wiem, że zużył ogrom pracy do przyswojenia sobie prostego i jasnego sposobu nauczania, że wreszcie licznemi pracami w zagranicznej literaturze lekarskiej od czasu do czasu łaskocze miłość własną uniwersytetu jagiellońskiego. Niestety, profesorowie uniwersytetu mimo całej grozy biretu i togi wglądają w metrykę, życie towarzyskie a może i w tualetę żony. Prawdziwie wstyd mi, że nie o poczciwem i pięknem, ale o brudach i niewyświonych śmiesznościach pisuję te listy.

P. Goldfingerowi pokazują Zakopane, jak figę; podczas gdy jeden sąd po długiem rozpatrywaniu czystości interesu wprowadza go do posiadłości, drugi—przeprasza i zabiera akta dla dokładniejszego jeszcze przeglądu. Wśród tego międzyaktu ukazała się w dziennikach odezwa, nawołująca do składek w celu kupienia większej posiadłości ziemskiej dla Matejki. Komitet złożony z kilku tutejszych obywateli, barwami zapożyczonemi z palety mistrza, jaskrawo maluje straty, spowodowane wspaniałą ofiarnością dla kraju. Matejko kocha tę galicyjską ziemię— woła komitet — a p. Goldfinger ani się domyśla, że krótkie to zdanie kryje w sobie zamach na zlicytowane przezeń Zakopane. Mimo to zachęta do tego kupna przebrzmiała równie rychło, jak i pierwsza odezwa; wątpię nawet, czy kto pokwapił się ze składką; natomiast z kredką w ręku obliczono owe straty ofiarności i... i nie wiem, co się dalej stało.

Sale wystawy przepełnione obrazami, o których wartości przekonać się można jedynie z dolepionej kartki z ceną podaną przez samego malarza; krowy niewidzianej rasy, morza o kolorach geograficznych, niepodobne podobizny, i „zadumane" w różnych odmianach—przerażają ilością. Przechadzka po salach skończyła się tem, że „obraz do nas ani razu." P. Łuskina wymalował wielki, nawet za wielki, przedstawiający króla Stanisława w otoczeniu dworaków i dam zalotnych; na szczęście u spodu obrazu znajdował się podpis „Król się bawi," a kontusz pozującego szlachcica upewnił patrzących, że rzecz nie wzięta z poematu W. Hugo. Obraz, który pomysłem i ułożeniem przypominał artystom znajome manekiny a publiczności kolorem rozgniecione poziomki i kredę, kupiło Towarzystwo za cenę 1,000 zlr. Gdyby tylko kupili, ale i chwalą; słusznie więc, że zachęcony artysta pracować będzie dalej w tym samym kierunku z niezłomną wiarą we wzrost tryumfów i stałość powodzenia.

Tryumf, ale to tryumf prawdziwy święcił niedawno stanisławowski poseł dr. Biliński. Z rozgoryczenia wyborców można było przypuszczać, że żądając wyjaśnień, odmówią mu zaufania jednogłośnie, tembardziej, że nie powiadomionych o postępowaniu posła w sprawach dobrobytu kraju, oświeciła miejscowa prasa. Kiedy p. Biliński po raz pierwszy ubiegał się o mandat do Rady państwa, poplecznicy jego szczególny na to kładli nacisk, że jest z zawodu ekonomistą, a wyjątkowe jego zdolności oddadzą krajowi nadzwyczajne usługi. Rzeczywiście, w Wiedniu poznano się na zdolnościach posła stanisławowskiego, który też odtąd całą siłą dążył do przeprowadzenia zamiarów — rządu wbrew interesom kraju i wyborców. Sprawozdań od lat trzech nie składał, tłomacząc się, że otrzymał groźną obietnicę powitania go „kocią muzyką i wyrzuceniem z sali." Sposób, w jaki usprawiedliwia swoje postępowanie w sprawach kolei Północnej, nafty i przedłużenia

---

go, przyległem za kępą trawy, dawszy znak moim towarzyszom, ażeby uczynili to samo. Brahim podsunął mi nabitą strzelbę, którą przygotowałem do walki. Łatwiej odczuć, niż opisać wrażenia, jakich doznawałem, gdy groźny potwór zbliżał się do nas. Wzruszenie dławiło mnie, musiałem wytężyć całą siłę woli, ażeby nie ściągnąć cyngla i nie strzelić przedwcześnie. Wiedzieliśmy, że kule nasze nawet zblizka odrazu go nie powalą, a ranny będzie jeszcze strasznym. Nagle błysnęła mi myśl, że słoń nas nie widzi i raczej szuka nieprzyjaciela, niż do oznaczonego punktu dąży, gdyż wtedy podniósłby trąbę i ryczał. To wszakże nie zmieniało faktu, że biegł prosto ku nam. Odległość, przedzielająca nas od niego, zmniejszała się szybko. Trzeba było walczyć; pot zalewał mi oczy, ale z niebezpieczeństwem rosła odwaga. Już tylko 50 kroków, 30 — 20 — ludzie nalegają, ażebym strzelił. Ze strzelbą przy twarzy, z okiem na celu — czekam. Pozostało zaledwie 10 kroków, czas strzelić, ale właśnie, gdy położyłem palec na cynglu — słoń zwrócił się na bok.

Nie dostrzegł nas—jesteśmy ocaleni. Gdy nas minął, chciałem wypalić, ale poczułem na ramieniu rękę i usłyszałem trwożliwą prośbę, ażebym tego zaniechał. Uległem, gdyż sam uczułem się osłabionym. Wzruszenie trwało zbyt długo, chociaż tylko — dwie minuty.

Słoń znikł w wąwozie. Jeszcze raz spróbowaliśmy szczęścia i podążyli za nim. Nie mogłem zrzec się łupu, zwłaszcza iż byłem przekonany, żem go ranił śmiertelnie.

Po kamieniach, wyrwach, przez kłujące zarośla biegliśmy ciągle doliną. Słoń szedł nieco wolniej, co nam dodało odwagi, ponieważ jednak w dziesięciogodzinnym marszu pokaleczyłem sobie nogi, pozostałem w tyle za moimi towarzyszami. Nakoniec straciłem ich z oczu.

Słońce zachodziło. Znajdowałem się w przykrem położeniu: o 15 kilom. od obozu, bez broni, w okolicy, gdzie dość licznie uwijają się lwy. Gdy zmrok zapadł, uczułem trwogę. Rozległ się strzał; może towarzysze dobili słonia, ale jak ja ich lub oni mnie znajdą? Ku wielkiej radości spostrzegłem trzy cienie: wracali—jeszcze raz strzelili do słonia, ale z powodu ciemności przerwali dalszą pogoń.

Za wskazówką gwiazd rozpoczęliśmy powrót do obozu. Grunt był tak chropowaty i przykry, że gdyby nie wszedł księżyc, musielibyśmy nocować na drzewie. Gromady bawołów przelatywały doliną lub spłoszone szumiały w gęstwinach; tu i owdzie, jak demony, ukazywały się nosorożce, a od czasu do czasu rozlegały się ryki lwów i rżenia zeber. Nareszcie dotarliśmy do obozu — po 15 godzinach chodzenia.

Nazajutrz postanowiłem przysunąć obóz do miejsca, gdzieśmy ranili słonia, zwłaszcza iż Brahim widział trzy inne. Po drodze zastrzeliłem nosorożca i odkryłem malowniczy wąwóz, przecięty strumieniem. Zmęczony wysiłkiem dnia poprzedniego, wysłałem ludzi na zwiady. Wkrótce jeden przyleciał z doniesieniem, że niedaleko jest kilka słoniów. Rzeczywiście ujrzałem parę z małem. Postanowiłem je obejść pod wiatr, ale ludzie przedtem wysłani, z którymi nie mogłem się porozumieć, spłoszyli je. Samica pierwsza ryknęła i podążyła ku mnie. Ukląkłem za krzakiem, zaparłszy oddech; ale ona ryknęła powtórnie i skręciła w bok. Zanim zdążyłem strzelić, słonie zniknęły w gęstwinie.

Wkrótce wszakże znaleźliśmy się niedaleko nich, ale nie mogliśmy ich widzieć. Nareszcie po wielu zwrotach przysunąłem się o trzy kroki, strzeliłem i ległem w krzaku, do którego słoń zaraz przybiegł. Chciałem mu znowu wbić kulę, ale on, ujrzawszy moich towarzyszów, odwrócił się. Powstałem, ażeby biedz za nim — i można sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy wpadłem na niego. Prawie otarł się o mnie. Schowawszy się i odzyskawszy przytomność, spostrzegłem go stojącego nade mną. Nie było co innego do-zrobienia, jak strzelić — uszedł jeszcze dziesięć kroków i zwalił się.

Poprzednio ranionego słonia znaleziono martwym.

Na tem kończymy obrazy z *tajemniczego świata*.

---

przywileju banku austro-węgierskiego, doprowadza wzburzonych obywateli do ostateczności. Z wyjaśnieniami w sprawie wódczanej nie mógł przybyć, bo obowiązywała go tajemnica, a stanowisko, jakie tu zajął, uważa za prawidłowe. Podatek ten czy z polakami, czy bez nich byłby przeszedł, powtóre, szanując „obę“ Grocholskiego, postąpić musiał tak, jak Madejski i Bobrzyński a choć osobiście przywiązany do ministra skarbu, nie oceniał sprawy ze stanowiska utrzymania gabinetu, który w razie niepomyślnego przebiegu mógł być zastąpiony nowym, z żywiołów nam nieprzyjaznych. Zresztą, cesarz powiedział, iż ufa polakom — lojalność zatem i patryotyzm kazały iść gościńcem rządowym.

Wrzawą i przeczeniami przyjęto żądanie wotum zaufania i... udzielono!

Niebywały sejmik relacyjny, tryumf prawdziwy i nieoszacowana karta do nowego wydania *Nędzy Galicyi*.

Kraków tymczasem zastanawia się nad środkami ściągnięcia podróżujących niemców, francuzów i anglików; komisya ma wypracować opis miasta i okolicy i zamieścić go w „Baedeckerze;“ wykształcić pewną liczbę *ceceronów*, urządzać wystawy, wyścigi a nawet przeprowadzić połączenie Tatr linią kolejową. Chociaż komisya nie przystąpiła jeszcze do działania, p. Deiches z Wiednia trafił do Krakowa i bez przewodników, obejrzawszy miasto, kupił na licytacyi młyny królewskie za 34,000 zlr. Szkoda, że nie wdali się w to archeologowie, wszak młyny te mają rozliczne przywileje, nadane im przez królów polskich. Zakłady, zbudowane kosztem 280,000 zlr., z maszynami o sile 40 i 80 koni, sprzedano za cenę, nierównającą się nawet kosztom wartości gruntu budowlanego.

Nie dla nas przemysł fabryczny, ale... figurki nam stawiać na błoniach.

Gdyby myśl wabienia cudzoziemców urodziła się we Lwowie, nie potrzebowaliby długo myśleć nad środkami przynęty, ale zaprowadziliby cudzoziemców za rogatki na smutne widowisko. Setki robotników piekarskich z żonami i dziećmi koczują w lasach przy ogniu, czekając polepszenia doli ze strony właścicieli piekarń. Prośby i wnioski na zgromadzeniach w mieście nie odniosły skutku, ani nie zmniejszono im godzin pracy, ani nie podwyższono zapłaty. Smutnym musiał być ten pochód za rogatki, bez awantury, bez złorzeczeń, łzawy i milczący. Komisarze miejscy i rządowi przyjeżdżali do nich w posły; ale ponieważ przyrzeczeń ulgi dać nie mogli, układy nie przyszły do skutku. Zagrożono wojskiem; bezprawna groźba nie zrobiła wrażenia; w mieście tymczasem piekarze wojskowi zaopatrywali publiczność. Przechodzę do ostatnich wypadków. Komisarz rządowy z żandarmami i żołnierzami policyjnymi przyaresztował w nocy większość robotników. Dano im do wyboru wydalenie, areszt lub przymusową pracę — wybrali ostatnią ze względu na żony, na dzieci.

Czy to uczciwe i sprawiedliwe, czy takie postępowanie nazywa się ojcowską opieką rządu, czy to wreszcie ludzkie?

Mor.

ZJAZD PRZYRODNIKÓW I LEKARZÓW.

Lwów, 20 lipca.

I.

Cztery lata ubiegło od chwili ostatniego zjazdu lekarzów i przyrodników polskich w Poznaniu i oto widzimy ich znowu we Lwowie w liczbie okazałej, bo aż 700 uczestników liczącej. Zebrali się tu przedstawiciele wszech dzielnic. Myślą przewodnią, która ich tu zgromadziła, obok wzbogacenia wiedzy przez odczyty i rozprawy, była chęć zawiązania stosunków i wzmocnienia węzłów towarzyskich między uczestnikami. Poddanie bowiem pod sąd i ścisły rozbiór kolegów owocu prac swoich, korzystanie z ich doświadczeń i wskazówek nie może pozostać bez pożytku dla nauki, żywa zaś wymiana słów słów i myśli zacieśnić musi węzły, łączące serca wszystkich uczestników.

Temi mniej więcej słowy otworzył w d. 18 lipca prezydent miasta Lwowa Mochnacki walne zgromadzenie II-go zjazdu lekarzów i przyrodników, powitał ich przytem „całem ciepłem swego serca, uściśnieniem bratniej dłoni,“ oraz życzeniem, aby „Bóg pobłogosławił ich pracę na pożytek dla nauki i chwałę narodu.“

Następnie zabrał głos prof. dr. Czyżewicz prezes wydziału gospodarczego: „Starorzymskiem przysłowiem —Viribus unitis— wzywam was, panowie, do wspólnej pracy dla nauki, ludzkości i stanu naszego“ — tymi wyrazami zakończył przemówienie, które wstrząsnęło wszystkich. Następnie zaproponował dr. Czyżewicz na prezydentów pp. dr. Józefa Majera, prezesa Akademii umiejętności w Krakowie, dr. J. Baranowskiego z Warszawy, dr. K. Chodounsky'ego z Pragi i hr. W. Dzieduszyckiego ze Lwowa. Zgodzono się przez aklamacyę, poczem dr. Majer otworzył zjazd V-ty, wzywając zebranych, by „nie wpadali w zwątpienie, gdyż ono pociąga za sobą upadek ducha i obojętność, a te są zwiastunami niechybnej zagłady. Nie kwilić nam i nie narzekać, nie opuszczać rąk bezczynnie, lecz z męzkim hartem jąć się pracy, która prowadzona rozumnie i sumiennie we wszystkich kierunkach życia społecznego, dźwiga kraj moralnie i materyalnie, a jest jedyną kotwicą zbawienia.“

Następnie w imieniu komitetu wystawy hygienicznej, która na czas zjazdu urządzoną została, bardzo serdecznie powitał zgromadzonych protomedyk dr. Biesiadecki, zapraszając do zwiedzenia wystawy.

Dr. Szpilman odczytał telegramy polskie, nadesłane z rozmaitych stron kraju, oraz przeszło 30 pozdrowień od czechów. Te ostatnie przyjmowane były przez zgromadzonych rzęsistymi oklaskami.

Z kolei hr. Włodzimierz Dzieduszycki wstąpił na trybunę i powitał zgromadzonych jako stary lwowianin, stary pracownik i zbieracz na niwie ojczystej, poczem wygłosił odczyt „o wędrówkach ptaków.“

Dr. J. A. Rollo (dr. Antoni J.) z Kamieńca odczytał rzecz „o dziedziczności obłąkania.“ Dr. Merunowicz przedstawił sprawę wyboru sędziów. Wreszcie dr. Chodounsky, wydelegowany na zjazd przez „Spolek lekarow ceskych,“ w języku czeskim wypowiedział słów kilka tak serdecznie i porywająco, że je co chwila przerywano gorącymi oklaskami. Nakoniec wybraną została komisya w celu oznaczenia miejsca następnego zjazdu. Wówczas prezes dr. Majer zamknął pierwsze walne zgromadzenie.

Członkowie zjazdu udali się do obrazu Matejki „Racławice.“ Nie miejsce tutaj na krytykę; zresztą jako niespecyaliście niewiele sądzić wolno; powiemy wszakże, że obraz ten pod wieloma względami przewyższa niektóre poprzednie. Jest tu mianowicie zachowana perspektywa (główny błąd Matejki), koloryt mniej jaskrawy, niema wreszcie takiego nagromadzenia osób, ani postaci fantastycznych unoszących się w górze, w czem się tak mistrz lubuje.

Około godz. 4-ej nastąpiło zwiedzanie wystawy hygieniczno-lekarskiej i przyrodniczo-dydaktycznej, ponieważ wszakże jednorazowe obejrzenie do zdania z niej sprawy nie wystarcza, odkładamy jej opis do korespondencyi następnej. Tutaj tylko zaznaczymy, że dzięki niezmordowanym staraniom dr. Merunowicza, przedstawia się ona nadzwyczaj okazale.

Około godz. 6-ej nastąpiło zwiedzenie muzeum hr. Dzieduszyckiego. Zdumienie ogarnia na widok tych skarbów nieprzebranych, zgromadzonych i uporządkowanych staraniem jednego człowieka. Kilkanaście pokojów, zapełnionych okazami flory, fauny oraz bogactw kopalnych kraju. Wszystko tu znajdziemy: nie brak najdrobniejszego owadu, ziółka lub kamyka. Hr. Dzieduszycki sam oprowadzał uprzejmie zebranych, zapraszając bardziej interesujące się osoby do powtórnych, a nawet kilkorazowych odwiedzin.

Zabawa ogrodowa, a raczej koncert tak dla nas miły na Wysokim zamku, oraz zebranie w salonach Koła literackiego zakończyły pierwszy dzień, będący właściwie tylko przygotowawczym wstępem do właściwego celu zjazdu, tj. do rozpraw, jakie dnia następnego rozpocząć się miały.

Sprawozdania z nich, jako zbyt specyalnych, nie nadają się do *Prawdy*; zauważę tylko, że zapisanych odczytów było około 130, że przedstawiono wiele prac naukowych i odkryć samodzielnych, że zatem cel zjazdu był osiągnięty, a wyniki nader pomyślne.

Posiedzenia odbywały się w dniach 19 i 20 w godzinach 9—12 przed południem i 4—6 po południu. Wszystkie sekcye, a było ich dziesięć: sześć lekarskich i cztery przyrodnicze — pracowały równocześnie, co dla braku czasu było koniecznem, niezbyt jednak wygodnem, wiele bowiem odczytów dla uczestników zjazdu było w ten sposób straconych.

W liczbie prelegentów z Warszawy wystąpili lekarze: Bujwid, Chrostowski, Florkiewicz, Goldflam, Heryng, Jakowski, Kramsztyk, Neugebauer (syn), Ołtuszewski, Przewóski, Polak, Rejchman, Sokołowski i przyrodnicy: Boguski, Dickstein, Gosiewski, Nusbaum i Wł. Natanson, dalej prof. Cybulski, Obaliński i Rydygier-Blumenstock z Krakowa; Obrzut i Hlawa z Pragi; Szpilman, Kadyi, Pisek i inni ze Lwowa, Prażmowski z Czernihowa i wielu innych. Posiedzenia i wystawa pochłonęły tak wiele czasu, że nie starczyło go nawet na obejrzenie muzeum Osolińskich, naznaczonego na dzień wczorajszy, ani innych osobliwości Lwowa. Postaramy się zrobić to jutro. Popołudnie bowiem dnia dzisiejszego zajmie wycieczka wspólna do Lubienia, zakładu kąpielowego o wodach siarczanych, dokąd właściciel, hr. Branicki najuprzejmiej uczestników zjazdu zaprosił. Opis wycieczki oraz wystawy i zamknięcia zjazdu odkładamy do następnego listu; tutaj wspomnimy już tylko o nadzwyczajnej gościnności i okazałem przyjęciu w sali ratuszowej, na jakie wczoraj uczestnicy zjazdu byli zaproszeni przez reprezentacyę miasta Lwowa. W prześlicznie przystrojonej kwiecierm sali zebrali się w strojach narodowych radni miasta Lwowa i utworzywszy szpaler, witali przybywających. Obok innych dygnitarzów obecnymi byli namiestnik kraju Zaleski i prezydent miasta Mochnacki.

BADANIA NAUKOWE.

ROZWÓJ RODZINY.

I.

W jakiekolwiek spojrzymy społeczeństwa, cywilizowane czy dzikie, jednaką znajdziemy idealizacyę istniejących w nich form rodziny. Naiwni filistrzy czarni z plemienia murzyńskiego kruów sądzą, że właściwa im rodzina, polygamiczna, stanowi istotną podwalinę pożycia społecznego, której podważenie rozbiłoby społeczność w gru-

gy [1]). Mohololanki z porzecza Zambesi, usłyszawszy z ust Livingstone'a, że w Anglii mężczyzna może poślubić jedną tylko kobietę, zawołały, iż nie zamieszkałyby w podobnym kraju. W żaden sposób nie zdołały uprzytomnić sobie, jak podobny związek może się podobać anglikom, gdyż, według ich zdania, każdy szanujący się mężczyzna winien posiadać kilka żon [2]). Podobnież, gdy Clapperton w Badagrze mówił o jednożeństwie, obie płcie wybuchły śmiechem, tak ono wydawało się czemś niedorzecznem [3]). Chippewyani amerykańscy sądzą, że wielożeństwo jest bardzo przyjemne wielkiemu duchowi [4]). Odpowiednie poglądy spotykamy śród grup, dozwalających dziewczęciu swobodę płciową lub uprawiających wielomęztwo. U posuniętych w kulturze chibchasów „do dziewictwa panny młodej nie przywiązywano żadnej wagi; raczej w tem widziano dowód, że dziewczę jest niezdolne do wzniecenia uczuć miłosnych" [5]). U nairów, gdzie każda kobieta miewa kilku mężów, a każdy mąż — kilka żon, „im większa liczba mężczyzn łączy się, tem większa jest sława dziewczyny. Każdy mąż ma swój dzień wyznaczony, od słońca do słońca. Życie upływa bez kłótni i zazdrości; dzieci zaledwie znają ojca" [6]). U tybetańczyków ukazuje się już czysta polyandrya. Nie mogli oni nawet pojąć, gdy dopytywano się, czy względy, okazywane przez jedną a wspólną żonę jednemu z mężów, nie wywołują czasami kłótni pomiędzy nimi. Zazdrość, nieznana mężczyznom, zdarza się u żon. Tybetanki tak są zazdrosne o prawa swe względem mężów, jak despota hinduski o dziewczęta haremu [7]). O harmonii rodzinnej wśród grup małżeńskich u todów, gdzie grono braci obcuje zbiorowo z odnośnem gronem sióstr, świadczą fakty, zebrane u Spencera [8]).

Dodajmy do powyższej wiązanki faktów zapatrywania własne na rodzinę monogamiczną, a przekonamy się, iż bezwzględność w wyrokowaniu o formach społecznych wszędzie jest jednaką. Zarówno nagi afrykanin swą polygamię, jak biały europejczyk monogamię uważa za opokę porządku gromadzkiego, z której rozkładem społeczność rozprysłaby się w niełądzie. Mimowoli przypomina się, iż aymarowie peruańscy patrzą na brodę, tak poważaną u brodatych ras, jako na „oszpecenie czystej ludzkiej natury," iż murzyni płaszczą niemowlętom nosy dla podniesienia tego wdzięku rasowego, tak pogardzanego przez ludy orlonose.

Dane powyższe dowodzą tylko jednego: człowiek umiał się wszędzie przystosować do istniejącej formy rodzinnej i tybetańczyk w swych stadłach polyandrycznych nie czuje się gorzej od murzyna w polygamii. To upoważnia nas do wniosku, iż mimo wszystkich zapewnień filisterstwa społecznego, zarówno z nad rz. Zambesi i gór Nilgeryjskich, jak i pod skrzydłami powagi Comte'ów, twierdzenia, iż każdomiejscowa rodzina stanowi podwalinę społecznego ustroju, są zgoła nieuzasadnione. Jak z przejściem polygamii w monogamię lub pierwotniejszych jeszcze form w ostatnie, społeczność nie przestała istnieć, podobnież ona nie ustanie, gdy rodzina wstąpi w dalsze fazy rozwoju. Nie rodzina bowiem, lecz rozrodzenie gatunku ludzkiego jest podstawą istnienia społecznego, tak samo, jak nie własność, ale produkcya uregulowana dóbr materyalnych stanowi drugi warunek porządku.

Prawdę tę zrozumiemy w zupełności, jeżeli zechcemy rozejrzeć się w świecie zwierzęcym. Wszędzie można zauważyć ścisły związek pomiędzy płodnością samic, opieką nad dziećmi, a trwałością małżeństwa. Niektóre ryby rzucają niezmierzoną liczbę jajek, gdyż tylko mnogością mogą powetować straty w potrzebie, wynikające z braku wszelkiej troski dalszej. Tymczasem wielkie koty lub słonie, gdzie troska o potomstwo jest bardzo znaczna, miewają niewiele dzieci i przedstawiają dość stałe związki rodzinne. Niemowlę ludzkie jest tak organicznie ukształtowane, iż wymaga dla swego wyżycia kilkoletniej opieki stałej. Ta okoliczność rozstrzyga już o wiadomej trwałości stosunku pomiędzy rodzicielką a potomstwem u wszystkich grup człowieczeństwa — trwałości różnej zresztą u oddzielnych szczepów, stosownie do warunków materyalnych bytu. Wśród australczyków dziecko w wieku lat 8—10 uzyskuje zupełną samodzielność życiową, co najzupełniej zgadza się ze źródłami utrzymania i prostotą czynności dla znalezienia pokarmów. Z tego stanu możemy sądzić o pierwotniejszym wśród małp-ludzi, w którym związek dzieci z rodzicielką ustawał po wykarmieniu i pozostawał stosunek samca do samicy. Tymczasem w społeczeństwach cywilizowanych zachody — już nietylko matki, lecz i ojca — dokoła dziatwy trwają przeciętnie do dwudziestego roku życia, co odpowiada złożonym źródłom zarobkowania i długiemu okresowi czasu przystosowania się do nich.

Że odradzanie istot, zdolnych do wyżycia wśród warunków odpowiedniego bytu, stanowi istotną treść rodziny i w ciągu dalszym jedyną podwalinę społeczności, świadczą o tem wymowne fakty w rodzaju następującego. U patagończyków małżeństwa powstają i kończą się według upodobania, lecz gdy zrodzonem zostanie dziecko, związek staje się nierozerwalnym aż do głębokiej starości. Z warunkami materyalnego bytu wiążą się pojęcia o przystojności liczebnego potomstwa. Niektóre grupy znalazły się wśród groźby przeludnienia, jak np. na koralowych wysepkach oceanu Spokojnego. Prawo zwyczajowe nie pozwala tu mieć kobiecie więcej, niż 2—3 dzieci, które nadto winna ona uśmiercić przy urodzeniu, lub jeszcze w zarodku, albo nie dopuścić zapłodnienia przez stosowanie odpowiednich środków. Lecz niemowlę, gdy uda mu się przeżyć kilka godzin, jest bezpowrotnie ocalonem. U eskimosów podobne warunki bytowania wypowiedziały się w opinii, potępiającej zupełną niepłodność, lecz jeszcze więcej pogardzającej kobietami bardzo płodnemi. Jeżeli to prawda, iż u kobiet, wskutek nadużyć płciowych, zmniejsza się zdolność wydawania licznego potomstwa, swoboda w obcowaniu cielesnem u wyspiarzy Oceanii zupełnie odpowiadałaby wymaganiom bytowym — utrzymywania ludności w stałej mierze. Są znowu inne grupy ludzkie, pastersko-wojownicze, dla których kwestyę istnienia stanowi obfitość urodzeń. Mało płodne kobiety są tu wprost pogardzane. Polygamia odpowiada najlepiej temu żądaniu, gdyż pozwala branki zamieniać na żony i zapładniać o wiele większą liczbę kobiet, niż plemię posiadałoby.

Z przytoczonych przykładów przekonywamy się jeszcze, że związek pomiędzy formami rodziny a sposobami utrzymania i zarobkowania jest bardzo ścisłym. Niepodobna nam wdawać się w drobiazgowe udowadnianie tej prawdy, ile że czytelnik znajdzie szczegółowe rozwinięcie tego poglądu chociażby w *Dziejach kultury* Lipperta. Zauważymy tylko kilka faktów. Szczebel rozwoju, właściwego andamańczykom, zna jedynie źródła utrzymania najzupełniej z łaski żywiołów. Rybołówstwo, myśliwstwo, zbieranie płodów, oto zajęcia, skąd człowiek czerpie pokarmy. Niepodobna z góry oznaczyć, w jakiem miejscu jutro znaleźć będzie można pożywienie. Szuka się je na obszernem terytoryum. Siły przyrody przeto nie mogą służyć pojedynczym płomieńcom, lecz winny stanowić własność zbiorową. Niema też jeszcze żadnego nagromadzenia owoców przeszłej pracy i sam podział obowiązków pomiędzy płcie jest tak słaby, iż nie wymaga stałości grup małżeństw gospodarczych. Takiemu podścielisku materyalnemu zupełnie odpowiada rodzina. Związki małżeńskie kojarzą się i rozrywają dowolnie, dzieci zaś uchodzą poniekąd za własność ogólną, bo głodnemu niemowlęciu daje piersi kobieta, posiadająca w danej chwili mleko. Dziesięcioletnie dziecko troszczy się już samo o siebie. Z takiego stanu wyszły i postępowe szczepy ludzkości. Rozwój polegał na zmniejszaniu przypadkowości w czerpaniu pożywienia. Człowiek naginał przyrodę do produkowania pokarmów w wiadomem miejscu, roślin — w wygrodzonem polu, trzód — na określonem pastwisku. Jeżeli zauważymy, że używane wówczas narzędzia były tego rodzaju, iż wymagały wysiłków pojedynczego pracownika, oraz iż tylko oddzielne jednostki posiadały dość zadatków do bardziej natężonej zapobiegliwości gospodarczej, zrozumiemy najzupełniej, dla czego wśród postępujących grup władanie zbiorowe zasobami przyrody przekształcało się w indywidualne. Odpowiednio jednolita horda rozpada się na pomniejsze i wyraźnie zarysowane grupy rodzinno - gospodarcze. Stosownie, czy w dojściu do tego stanu pierwszą rolę odgrywały źródła zarobkowania właściwe mężczyźnie, czy też kobiecie, powstają gospodarstwa polygamiczne. Obie formy w postaci murzyńskiej (lub mongolskiej) i tybetańsko-drawidyjskiej odpowiadają drobnej formie własnościowej: spółkowinie rodziny z większymi lub mniejszymi śladami szerszego jeszcze spółkownictwa i z zupełną pewnością bytu indywidualnego. Lecz indywidualizacya w posiadaniu się zwiększa, oddzielne rodziny w rozwoju ekonomicznym zostają wydziedziczone z własności—i oto w powstałych stąd warstwach niknie ekonomiczna podwalina kół polygamicznych. Ukazuje się monogamia. „Historya własności — to dzieje postępu rodziny," powiada Giraud Teulon; lecz nie należy zapominać, jak uczynił ten uczony, że dla ludzkości oddzielne formy własności i rodziny posiadają jedynie znaczenie przejściowe. Trwale ważnem jest jedynie produkowanie odpowiedniej do warunków bytu ilości jednostek i ujęcie w stałe normy prawne stosunku człowieka do źródeł zarobkowania. Właściwości tych ostatnich z istniejącemi metodami produkcyi materyalnej rozstrzygają o instytucyi własnościowej, ta zaś wywiera swój wpływ na pożycie małżeńsko-rodzinne. Zresztą prócz powyższych czynników w ukształtowaniu rodziny uczestniczy jeszcze jeden niewspomniany. Związek małżeński powinien przedstawiać każdorazowo najodpowiedniejszą klapę dla wyładowania się żądzy płciowej w społeczeństwie. Wiadomo, że wśród kategoryi t. zw. gwałcicieli, posuwających się aż do ludożerstwa kobiety, zauważono mnóstwo kalek, brzydotą cielesną uniemożliwiających zyskanie sobie względów u drugiej płci. Społeczeństwo zwracać winno na ten punkt wielką baczność. I rzeczywiście, gdy wyładowanie takie jest niemożliwiem w szrankach rodziny urzędowej, wszędzie cierpianem jest istnienie innych form obcowania (prostytucya europejska). Wieki średnie, bliższe zdrowego barbarzyństwa, zwracały na to pilną uwagę, i gminy szwajcarskie bardzo długo zobowiązywały urzędowo proboszczów do trzymania gospodyń. Wobec tego uwzględnijmy istnienie tu i owdzie stosunków, jak w Bantu, gdzie w chwili wylądowania hiszpanów 1 mężczyzna przypadał aż na 10 kobiet, lub w Jonora — na 7 [1]); oraz odwrotnych na w. Wielkanocnej, gdzie kobiety stanowią ledwie piątą część ludno-

[1]. Waitz, *Anthropologie*, tom II, str. 109.
[2]) Spencer, *Sociologie*, § 305.
[3]) Letourneau, *Evolution du mariage*, str. 156.
[4]) Spencer, tamże.
[5]) Waitz, tamże, tom IV, str. 167.
[6]) Giraud Teulon, *Les origines du mariage et de la famille*, str. 158, 159.
[7]) Letourneau, tamże, str. 98, 99.
[8]) *Socyologia opisowa*, zeszyt V.

[1]) Letourneau, tamże, str. 93.

ści [1]), na N. Zelandyi, gdzie na 100 kobiet przypada 130 mężczyzn, na w. Sandwich, gdzie na 100 kobiet jest 125 mężczyzn [2]). U todów stosunek kobiet do mężczyzn ma się stale jak 3 do 4. Samo ustosunkowanie płci nakazuje istnienie ściśle określonych form rodzinnych, w pierwszym razie poligamicznych, w drugim — dających zupełną swobodę kobiecie. I rzeczywistość stwierdza to założenie.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

V.

Co mówi przyjaciel kościoła o kościele. — Duchowieństwo pośrednikiem między walczącymi. — Nowy pomost między dogmatem i nauką. — Jego szanse i niebezpieczeństwa. — Co myśli o tym sojuszu Büchner. — Watykan na cenzurowanem. — Dąsy na krytycyzm.

Złośliwy los, niepomny na to, że żyjemy w epoce bólów wątrobianych, trapiących osobliwie *Przegląd katolicki*, zesłał mi znamienny dosyć artykuł. Nagłówek jego brzmi: *Kwestya socyalna i kościół*, autorem jest Morrison J. Swift, a miejscem narodzin wychodzący w Chicago tygodnik, poświęcony specyalnie godzeniu religii z nauką — *The open court*.

Rzecz prosta, iż czasopismo z celem tak szlachetnym i szerokim, a nawiasem mówiąc, tak pozytywnym i łatwym do osiągnięcia, że niewątpliwie ujrzymy go wcielonym w czyn prędzej czy później, tj. w lat sto tysięcy lub pół miliona — przystępuje do przedstawicieli stanu kapłańskiego z nieobludną czcią i nader delikatnie a ostrożnie robi mu swoje napomnienia. Nie znaczy to, by chciał wyliczać jego nadużycia — ramy wydawnictwa peryodycznego są na to za... szczupłe, ale wskazuje mu pewne całkiem zastarzałe, z duchem najelementarniejszych danych dzisiejszej filozofii niezgodne atrybucye, które należałoby zastąpić całkiem nowemi.

Zdaniem jego, minęły już czasy apologii i żarliwych sporów o istotę Boga i większą lub mniejszą wytrzymałość dogmatów na pociski logiki i zdrowego rozsądku. Religii nastręcza się zadanie tysiąckroć ważniejsze, bo oto rozstrzygnięcie najbardziej palącej sprawy naszej doby — kwestyi socyalnej. Chrystyanizm zarzucić powinien scholastykę, a oprzeć się znowu na odwiecznych swych prawdach etycznych o powszechnem braterstwie.

Arystoteles powiedział: Są pewne rodzaje pracy, których człowiek jąć się nie może bez poniżenia swej godności, a mianowicie te, które wymagają zastosowania siły cielesnej. Dla nich natura stworzyła oddzielny gatunek ludzi. Temi specyalnemi istotami są fizycznie pracujący dla nas i za nas pod imieniem niewolników i najmitów.

Porządek rzeczy, odpowiadający tej socyologii, istnieje i dotychczas. Społeczeństwo po dawnemu rozdarte jest na dwie połowy: sytych i głodnych, posiadających i wydziedziczonych, uprzywilejowanych i upośledzonych. Jeżeli Kościół chce ocalić swoje prawo do nazwy moralnego przewodnika ludzkości, niechaj czemprędzej służbę swą zaprzęże do roboty moralnej, do upowszechnienia idei sprawiedliwości. Morrison Swift nie wątpi, że jest wielu księży, niemających dostatecznie skrystalizowanego poglądu na sprawę palącą doby współczesnej, ale chyba niema takich, którzyby jej tego naglącego, pierwszorzędnie doniosłego charakteru zaprzeczali. Dotąd nadużywają oni ambony, nawołując z jej wysokości do bojaźni Boga, a jednocześnie kupczą swym zawodem aż do tego stopnia, że niektórzy pastorowie utrzymują potajemnie... domy schadzek. Zamiast tego nad wyraz szczytnego, choć zapewne bardzo zyskownego posłannictwa, niechaj lepiej wsłuchują się w poszepty wieku, a przekonają się, że interes dla doktryn widocznie słabnie, ale za to wypływają na wierzch zagadnienia praktyczne, które niechybnie podkopią powagę kościoła, jeżeli on sam nie przyłoży ręki do ich rozwiązania, a nawet więcej—nie zawładnie ich sterem.

Autor bliżej programu swego nie wyłuszcza — z odezwy, popartej wielokrotnie moralnemi przykazaniami samej Ewangelii, trudno wywnioskować, na czem ma polegać socyalna działalność duchowieństwa, czy na rozpodziale dobrowolnym świątobliwych majątków pomiędzy nędzarzów i wyrobników, czy na skłanianiu bogaczów, by się stali ludźmi i wszystko, co ludzkie, do serca brali. W pierwszym wypadku znalazłyby się wnet bajeczne sumy takich bajecznych sum, z jakich jednej potrzeba było Lassale'owi dla urzeczywistnienia jego projektu socyalnego. Ale nie na to Kościół tak potężny, jak np. katolicki, przez dwadzieścia stuleci gromadził złoto, ażeby je później ofiarom swoim zwrócić lub wpajać w nie choćby tylko niebezpieczną zawiść ku silnym świata tego, a więc ku samemu Kościołowi.

Od pewnego już czasu programy podobne, postawione na gruncie pseudo-filozoficzno-naukowym, zjawiają się w piśmiennictwie angielskiem i amerykańskiem. Wynalazcy widzą w nich cudowny, zdawna upragniony pomost między wiedzą przyrodniczą wraz z jej wynikami ogólnymi—a religią. Doświadczenie jednak dziejowe uczy, że za rusztowaniem, dźwignięte dla zbudowania tego mostu, kryją się najczęściej warsztaty obskurantyzmu. Dopóki inżenierami idylicznej komunikacyi będą Stöckerowie — dobrze będzie nie tracić nigdy z uwagi trojańskiego wyrzeczenia o greckich darach.

Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazła się przede mną, no a więc i tobie czytelniku zaprezentowaną być musi, książeczka, poruszająca przedmiot bardzo pokrewny, a wydana przez — nie mam odwagi dokończyć — przez — oj biedny ten *Przegląd katolicki*! — przez... Büchnera *). Stary zjadacz idealizmu nie ustaje w swej heretyckiej propagandzie i teraz znowu pod adresem głównie Watykanu wydrukował praktyczne konsekwencye z tego, czem rozbrzmiewała niegdyś po świecie *Siła i materya*.

Ale tu już ani śladu tego łagodnego i oględnego tonu, jakim przemawia *The open court*. Autor dzisięciu — a może i więcej — wydań materyalistycznego katechizmu po dawnemu wypowiada się śmiało i otwarcie. Pomimo parzącą kąpiel krytyczną, jaką mu sprawił nieboszczyk Fryderyk Albert Lange, ma on swoich licznych i żarliwych zwolenników i bohater *Ojców i dzieci* Turgeniewa tryumfowałby na ten widok nie pomału.

Büchnera *O religijnym i naukowym poglądzie na świat* jest rozszerzoną parafrazą odczytu, wygłoszonego w Apoldzie przed towarzystwem wolnomyślicieli niemieckich. Wyklęty profesor nie lubi obwijać w bawełnę swoich grotów. Z twardą szorstkością przyznaje, iż między nauką a religią, między naturą i objawieniem zieje otchłań, która grozi całej cywilizacyi gwałtownem wstrząśnieniem, jeżeli polityka konwencyonalnego okłamywania siebie będzie trwać dłużej. Namiestnikowi Chrystusa oddawna wypada albo poczynić w artykułach wiary katolickiej radykalne w duchu zdobyczy przyrodoznawstwa zmiany, albo też ważyć się na bój śmiertelny z postępem. W przecenieniu własnej mocy kościół wybrał to ostatnie — owszem, próbuje nawet chwiejącą się miejscami potęgę obwarować nowymi bastyonami, w rodzaju dogmatu nieomylności papieża. Do czego doprowadzi ta, jak mówi Feuerbach, „obłuda oszukiwania siebie, będąca głównym występkiem współczesnej doby“—nie trudno przepowiedzieć. Pustka bezdenna kryje się pod kruchym a olbrzymim gmachem, w którym kłamie głowa kościoła, gdy nakazuje posty, kłamie kardynał, gdy pod osłoną ołtarza politykuje, kłamie proboszcz, gdy wzywa do budowy parafialnego kościoła, kłamie konsystorz, gdy skazuje na pokutę kościelną, kłamie oświecony ksiądz, gdy każe sobie płacić za udzielanie sakramentów, kłamie obywatel, gdy okazuje kapłanowi szacunek. Tymi to, znanymi zresztą aforyzmami Maxa Nordaua określa Büchner obecne położenie rzeczy.

Bezceremonialny profesor ma zresztą taką samą urazę i do filozofii. „Nikt— powiada on — nie zostanie uznanym za pełnoprawnego filozofa, kto nie przyczynia się do ogólnego oszustwa i nie sprzedaje frazesów za prawdę. Jeżeli jednak wystąpi ktoś, co kocha prawdę więcej, niż Platona i Sokratesa — nie uniknie powszechnego prześladowania ze strony tych, co straciliby swój chleb w razie zatamowania źródeł urzędowej mądrości.“ To jeszcze epistoła do czarnej międzynarodówki, ale oto, co twierdzi Büchner o filozofach *ex professo*. „Rzecz sama w sobie“ bywa zazwyczaj tylko płaszczykiem dla ignoracyi i filozoficznego niezdecydowania; nie jest ani dobrem, ani pocieszającem przybierać wobec wielkich zagadnień myśli — postawę niewiedzy, poza którą przykuca zwykle istotna ignorancya. Gdyby nawet „rzecz sama w sobie“ istniała lub gdyby prawdą było, że my poznajemy tylko zewnętrzą stronę przedmiotów, to i wtedy nie powinnaby ona być brana pod rozwagę, ze względu na to, iż żadnej drogi do niej nie mamy.

Pomimo te siarczyste gromy na krytycyzm, mamy pewność, że Kant ze swoją „ignorancyą“ wolałby być Kantem niż — Buchnerem.

Szanowny autor *Siły i materyi* jest człowiekiem wielkiego animuszu i odwagi cywilnej. Dopóki ślepa, nieracyonalna wiara przechodziła w sceptycyzm i bezwiednie dążyła do niefilozoficznego, bezdusznie-mechanicznego materyalizmu, ułatwianie tej krańcowości płytkiej umysłom prostaczym za pomocą rozpraw popularnych nie było zjawiskiem pożądanem i o głębokiej, poważnej inteligencyi świadczącem. Dziś jednak zapanowała dążność wprost przeciwna. Humanistyczne poglądy wpadają w sceptycyzm na rzecz przesądu i zabobonu — a to pod wpływem postrachów melancholii i zbiorowego nacisku wysuniętych dziś na czoło czynników anti-cywilizacyjnych Nie zaszkodzi w tym nieprzytomnym ruchu wstecznym parę zimno-wodnych natrysków.

Naturalnie w podobnych występach o pomyślnym skutku stanowi istotna uczoność — Büchner jest za pospolitym i za mało oryginalnym. W książce wzmiankowanej śledzi on na sześćdziesięciu stronicach ogólny pochód kultury europejskiej — streszczając sobie *sans gêne* Drapera.

N. Hirszband.

---

¹) Hovelacque-Hervé, *Anthropologie*.

²) Letourneau, str. 94.

*) *Ueber religiöse und wissenschaftliche Weltanschaung.* Ein historisch-kritischer Versuch. Lipsk, 1887.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

II.

Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, żem dotąd nazywał autora *Hanki* poetą.

Jeśli w pomyśle nie zdołał wznieść się nad szemat, wedle którego układają się

wszystkie powieści wiejskie i sztuki ludowe, za to potrafił odczuć i odmalować naturalne tło. Z wielkim uszczerbkiem dla zwięzłości i skupienia, ale z godną oklasku miłością dla przyrody podolskiej roztoczył jej powaby i owiał je tchnieniem łagodnej melancholii. Cała osnowa rozpięta jest na pasmie krajobrazów, które rozwija, niby wachlarzowate album, coraz nowe widoki. Nowe? Możeż być w naturze co nowego? Możeż być w naturze co starego? Dobrze robi poeta, jeśli cenniejsze klejnoty swego natchnienia składa na ołtarzu natury.

O jakże okropnie lubi się powtarzać wielomówny autor *Hanki*! Burzany i metelice, metelice i burzany, wzgórza i jary, jary i wzgórza. Prawda, że koloryt owych ziem, morzami łez i krwi zroszonych, musi być bardzo jednostajny, ale mimo to nie może chyba tak nużąco działać, jak natrętna lutnia p. Wierzbickiego.

Ilekroć ugrzęźniesz w pięciostronicowym opisie wschodu lub zachodu słońca, chciałoby się zawołać: Nuże, prędzej, powolny artysto, bo cię słońce przegoni i wieczór zapadnie, nim świetną planetę zdążysz z pod widnokręgu wydobyć. Niech więc na tę powolność zakulisowej maszyneryi spada wina, jeśli nieco za długi będzie jeden z prawdziwie ładnych urywków, który na próbę wypada przytoczyć:

Noc zapadła cicha i gorąca, ćmiło się niebo, tylko jeszcze długo widnokrąg złocił się odblaskiem słońca, jaśniejszą światła na zachodzie smugą. I zwolna z niebios gasnących szafiru spływał na ziemię cień nocy ponury i zwolna mrocząc niebo nakształt kiru, ze wschodniej strony nadciągały chmury ciężkie i burzą deszczową brzemienne. Z początku, pierwsze nawałnicy gońce, wiały po niebie chmurki drobne, zmienne, to gasząc w górze gwiazd światełka drżące, to zapalając zgaszone naprzemian. Wiały tak chyżo szafirów krainą, iż się zdawało błędnym oczom ziemian, że chmurki stoją, że to gwiazdy płyną. Za niemi chmury większe się podniosły, skłębione z rąbkiem jaśniejszym u szczytu, na skrzydłach burzy olbrzymiały, rosły, czołem tonęły w wyżynach zenitu, kłębiąc się w groźne fantastyczne larwy obłoków ciemnofioletowej barwy i już nad poziom wynurzały łono, jak otchłań czarna, skąd ciemności zioną. I czasem niby zwiastun nawalnicy, z tych chmur wybuchał wężyk błyskawicy i całe niebo rozpalił w płomienie; nawet obłoczki, długim korowodem posępnie zwisłe nad samym zachodem rozpłomieniały się na oka mgnienie — itd.“

Nikt nie zarzuci temu obrazowi braku gładkości pióra, ale po każdych trzech prawdach idą w nim trzy nieprawdy. Tylko gdy chmury wolno suną, zdaje się jakoby stały w miejscu, a gwiazdy płynęły. Zwiastunami burzy nigdy nie bywają chmurki drobne — wybucha ona zawsze z jednej, wielkiej. Wreszcie po nocy trudno odróżnić, gdzie obłok ma swe czoło, a gdzie stopy, tylko wtedy, gdy nad nim świeci słońce, odrzynają się górne kłęby od dolnych — ale gdy już firmament gwiazdami się uhaftuje, o tych światłocieniach niema gadania.

Już to tak bywa: gdzie dużo słów, tam mało ścisłości.

Za dowód jednak, że autor miewa chwile całkiem szczęśliwe, posłużyć może zakończenie *Hanki*.

Obok grożącej zalaniem powodzi słów — drugą wadą organiczną p. Wierzbickiego jest brak dramatycznej siły i wszelkiego wogóle natężenia, tam gdzie czytelnik chciałby i powinienby być wstrząśniętym, albo rozrzewnionym. *Hanka* obfituje w epizody, które pod ręką ciepłą tętniłyby żywą krwią — a tu zostały bladymi. Gdy dochodzimy do walki syna, podrażnionego w najdroższych swych uczuciach, z ojcem despotycznym i gwałtownym — myślimy, że z tego starcia dwóch surowych brył strzeli płomień — nie, posypało się tylko trochę kurzu i na tem koniec. Taki sam zawód spotyka nas przy innych momentach rozstrzygających, rzekłbyś, iż *Hanka* to sporządzony ozdobnie protokół albo akt oskarżenia, albo w najlepszym razie kronika ze starych papierów wyszperana — tak mało posiada wzlotów prawdziwego eposu, prawdziwego liryzmu lub tragiczności. Prawie ani razu nie przyspiesza w nas bicia serca, najczulszej nawet kobiecie ani razu powiek nie zwilży, ani razu nie rozeprze piersi szerszym rozmachem poetyckich skrzydeł.

Jedynie miłość ma władzę nad autorem i wyrywa go z flegmatycznego gawędziarstwa; ilekroć o nią chodzi, można być pewnym wrażenia przyjemnej świeżości. W malowaniu urody Hanki albo Iwana często za mało naturalności, a za wiele przesady klasycznej, zapominającej, że ciało wieśniaczki mimo całą swą jędrność rzadko kiedy przypomina kształty Wenery lub Dyany — Iwan jak gdyby wzorowanym był na Apollinie, a wszystkie ich ruchy i styl postaci zanadto trącą wycackanemi idylami z przed dziewiętnastego wieku. Ale same porywy namiętności utrzymują się na właściwym poziomie efektu szczerego, lecz z chłopska niewstrzemięźliwego, o wyraźnej tendencyi zmysłowej:

...Hanka do sadu powróciła rychło
I przed okienkiem, wśród światła kolumny,
Co w sad padało, stanęła widoma,
Pewno iść w sadu ciemności się sroma,
Może się nawet obawia przemocy.
Iwan ją objął serdecznie w ramiona:
— Gdzie ojciec? — pytał. Błąka się po nocy,
Jeszcze nie wrócił — wyszeptała ona.
Iwan jął tulić dziewczynę do łona;
Pieści jej włosy i całuje lica,
I szepcze w uszko: Czysta czarownica!
I znowu całuje, i znowu ją pieści,
I znowu szepcze słowa cudnej treści:
— Chodź tam do sadu, luba Hanlu ze mną!
— Ja tam nie pójdę, tam straszno i ciemno,
Ja gospodarska córka, choć uboga!
O mój serdeczny! wszak do mojej chaty
Jedna znajoma wiedzie wszystkim droga.
I tam najpewniej trafią twoje swaty!
Stój! opamiętaj się ty, bez pamięci!

Realistyczna domieszka cechuje wszystkie podobne sceny. Znać wszędzie chwalebne usiłowanie dostrojenia się do rzeczywistości i oko bacznie na jej szczegóły i drobiazgi zwrócone. Dzięki niemu *Hanka* mało razi anachronizmami, owszem pasuje zupełnie do gruntu, na którym wyrosła, do kierunku ludowego i jednocześnie realistycznego, jaki wybił się na wierzch w noweli i poezyi ostatniemi czasy.

Nie można powiedzieć, ażeby z trudnego zadania: jak pogodzić szlachetny kruszec poezyi wierszowanej z nieuniknioną trywialnością sfery, poeta wyszedł zwycięzko. Poczucie realizmu wykształciło się w nas w stosunku do sumiennie dziś obserwowanych „nizin“ osobliwie, a rymy poważne, niehumorystyczne, nigdy do całkiem gminnego tonu nagiąć się nie dadzą, choćby nimi władał nie taki jak p. Wierzbicki mistrz. Ale w pewnym małenkim stopniu trudności tej zajrzał śmiało w twarz: w opisie bójki karczemnej i wszelkich wogóle bijatyk, w obrazie jarmarku i paru jeszcze innych.

Ale czas zsumować wszystko, co się rzekło.

Wobec współczesnej autoromanii, która się stała rodzajem duchowego sportu, dla każdego świeżego nazwiska szykujemy zawczasu uśmiech ironii i politowania. „Powieść podolska“ oczekiwanie podobne mile zawodzi i bez miłosierdzia może się obejść. Jako pierwszy debiut — talentu kompozytorskiego ona nic zapowiada bynajmniej. Wrzący temperamentu artysty również nie — ale znamionuje dobrze rozwinięty zmysł naturalnego piękna i dar niepowszedni rymowania, dar, rzec można wybitny, bo na nim rzadko gdzie cierpi język, który po największej części wychodzi płynnie, gładko, swobodnie i swojsko. Pedant, naturalnie, znajdzie na tak olbrzymiej przestrzeni niejeden dziesiątek uchybień — ale całość robi wrażenie raczej dodatnie, niż nieokreślone i budząc podziw niemały dla złożonego w niej ogromu pracy, każe raczej zachęcać autora do dalszych występów, niż zniechęcać.

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przemiana gatunków społecznych w Bośni i Hercogowinie. — Nasze poświęcenia i męczeństwa.—Bank ziemski w Poznańskiem. — Jego ostatnie posiedzenie. — Życzliwa rada. — Wystawa kucharska. — Swojskie pieszczoty. — Na straży dworu. — Czego lud nie umie. — Odezwa w sprawie Zwierzyńca.— Koniec wesołej polemiki. — Ciekawe pytanie.

Jedna z gazet wiedeńskich opowiada dziwną historyę przemiany gatunków... Bośnia i Hercegowina sprawiły sobie kalendarz adresowy, książkę, która jest wysoce pouczającą nietylko dla obu tych prowincyj, ale nawet dla... nas. Otwórzmy ją w kilku miejscach.

Str. 78: Osman Beg Beganowicz. W r. 1878 był dostojnikiem wojskowym — dziś ma skład towarów kolonialnych.

Str. 230: Rizwan Begowicz. Kiedyś drżała przed nim cała Hercegowina. Należał do dumnej rodziny feudałów, którzy między innymi dowodami swej sławy przechowywali w zamku stolackim obszerny list otrzymany przez dziadka z podpisem: „Napoleon Empereur et Roi“ i z tytułem: „Mon cher cousin.“ Dziś Begowicz jest — kupcem tkanin w Stolacu. A Jussuff Beg Filipowicz? Został — adwokatem.

Wszystkie te przemiany dokonały się w ciągu lat dziesięciu.

Gdy patrzymy na nie z oddali, staje nam przed oczami szereg zachwytów, które nas ciągle dolatują zblizka: córka zamożnych niegdyś rodziców założyła sklepik; były obywatel ziemski pełni obowiązki kontrolera tramwajowego; żona bogatego marszałka szlachty utrzymuje restauracyę itp. Faktom tym towarzyszy oklask *Kuryerów*, a czasem cicho i pełne boleści współczucie. Zwłaszcza jeżeli ktoś należał ongi do „czoła narodu“ i bądź skutkiem niepowodzeń, bądź skutkiem hulanek i marnotrawstwa stracił majątek, a nie poszedł na utrzymanie do bogatej rodziny, lecz zaczął pracować — widzimy w nim albo bohatera, albo męczennika. Kobieta, która przez całe życie tylko przebierała się w rozmaite suknie, czerniła brwi i różowała usta, tańcowała na balach i odwiedzała wszelkie *bady*, a gdy środków zbrakło—zaczęła sprzedawać bułki, przedstawia się nam mniej więcej tak, jak chrześcianka rozszarpywana za wiarę przez dzikie zwierzęta w cyrku rzymskim. O ile przygląda się temu żalowi duch wieku, wcielony w życie narodów ucywilizowanych i szanujących pracę, bawi się taką naiwnością serdecznie.

Rzecz dziwna, im naród biedniejszy, w losach swoich bardziej upośledzony, tem większy czuje wstyd zajmowania się tem, co właśnie stanowi potęgę społeczeństw, a tem większą cześć do wszelakich szychów. Anglik uprawiał ziemię, która go zawiodła; spróbował wyrabiać mydło, które mu również nie dopisało: zaczął więc handlować piaskiem lub pantoflami. Z jednego stanowiska na drugie przechodzi bez zadawania sobie gwałtu, bez sromu, bez uznawania się za ofiarę losu, bo każda praca rzetelna jest dla niego źródłem ekonomicznem, równouprawnionem z innemi. Na drogę tej logiki wstąpiły również kraje tak nierozwinięte, jak Bośnia i Hercegowina, a my ciągle je-

szcze pasujemy się z widmem „szlachectności.“ Bo proszę wystawić sobie, gdyby nasz „cher cousin“ cesarza Napoleona sprzedawał sukno! Aż strach pomyśleć!

„Kochani kuzynowie“ w Poznańskiem, jak wiadomo, podjęli równolegle dwa sposoby ratowania ziemi z rąk giermańskich: zaczęli na wyścigi sprzedawać ją wielkimi obszarami—niemcom i zakładać bank, który by jej nie pozwolił kupować — także niemcom. Genialny ten pomysł zbawiania ojczyzny nie był wcale pracą Penelopy, która nocą pruła to, co dziergała dniem, bo mnóstwo majątków już popruto, a jeszcze ani jednego nie zszyto. Czego nikt, oprócz ks. Bismarka nie przypuszczał, okazało się, że daleko łatwiej sprzedawać ziemię niemcom, niż ją nabywać. Ów sławny Bank, który na drożdżach przechwałek (tych samych, co to w parlamencie pruskim zapowiadały: nie pójdziemy do Monaco!) wyrósł do olbrzymich sum, powoli malał, źle mówię— nie mógł się narodzić, pomimo, że ustawicznie obcinano jego rozmiary. Ostatecznie miał zebrać trzy miliony m. Niecierpliwsi pukali ciągle w jego zamknięte okienice, ale im odpowiadano z wewnątrz, że jest opalany jak najlepszemi chęciami. Nawet jego przeciwniczka, komisya kolonizacyjna, niemogąca opędzić się natręctwu panów, ofiarujących jej swoje dobra, również wołała błagalnie: ratuj mnie od swych patryotów! Zaraz, zaraz—odpowiadał Bank... ratunkowy, poczekajcie!

Czekali patryoci, od których miał ziemię bronić, czekała oblężona przez nich komisya, czekał naród zainteresowany tą sprawą, nareszcie d. 13 b. m. odbyło się „walne *doroczne* zebranie,“ które—jak pociesza korespondent *Gazety polskiej*— „wydało jeden przynajmniej dodatni rezultat, iż... zredukowano kapitał zakładowy z 3 do 1,200,000 rs. Przytem „rada nadzorcza i dyrekcya dotychczasowa cała solidarnie podały się do dymisyi.“

Oto jest wielki skutek wielkiego rozmachu! Ech, panowie, darujcie mi szorstkość wyrażenia, gdyż radzę wam szczerze: zredukujcie odrazu kapitał zakładowy do zera, podajcie się wszyscy do dymisyi i nie bałamućcie błazeństwami opinii publicznej, która wam jeszcze wierzy. Nie doroślíście, albo jeśli wolicie — nie doroślibyśmy do tego zadania, więc go nie podejmujcie, bo tylko wylażą na wierzch szwy partackiej roboty i ośmieszają niezdolnych krawców. Z tej mąki chleba nie będzie, bo to nie mąka, ale piasek, zwykły nadwiślański piasek, do żadnej trwałej budowy nieprzydatny.

Ot do czegośmy utalentowani: zimą urządzimy sobie znowu wystawę kucharską, na którą cisnąć się będą tłumy i wrzucać do puszek dla biednych — guziki. Właściwie u nas trwa nieprzerwanie wystawa kucharska — dla przekonania się dość odwiedzić kilku znajomych lub o każdej porze dnia i nocy zajrzeć do jakiejkolwiek restauracyi. Żarłoctwem i smakoszostwem przesiąkło całe nasze życie, nawet nasz język. Za granicą lekarz, przepisujący choremu dyetę, powiada: możesz pan jeść rosół, kurczę, kotlet, kompot itp. Tymczasem nasz mówi: możesz pan jeść rosołek, kurczątko, kotlecik, kompocik itd. Wielu zdrobniałych wyrazów słownika kucharskiego obce języki wcale nie posiadają. Anglik wytrzeszczyłby oczy, gdybyśmy w restauracyi zażądali od niego — wódeczki i śledzika.

To są nasze swojskie pieszczoty.

Jeżeli chłop sprzeda śmietanę zaprawioną wapnem; jeżeli kogoś wyzyska lub oszuka, zaraz pojawiają się w dziennikach skwapliwie przedrukowywane artykuliki p. t. „Nasi poczciwi wieśniacy.“ Myśl tych obrazków jasna: oto, panowie demokraci, uczciwość waszego ludu, który tak wychwalacie. Natomiast gdy Sienkiewicz napisał swoje *Szkice węglem*— zgroza zatrzęsła całą niemal ówczesną prasą, a gdy teraz powieść tę przerobiono na obraz sceniczny i nieco czarniej podmalowano postać szlachcica obojętnego na niedolę chłopską— znowu odezwały się głosy syczące w organach „przedstawicieli narodu.“ Nikt nie zaprotestował przeciw temu, ażeby Zołzikiewicz, pisarz gminny, oszust i zgnilec moralny, był wiernym wyobrazicielem całej swej warstwy; nikt nie skruszył kopii za chatę; ale gromada rycerzy honoru szlacheckiego stanęła z dobytemi szablami przed dworem i plebanią. W tych dwu przybytkach naszych cnót nie ma ołtarzów dla egoizmu, to świątynie najczystszych uczuć. Doprawdy trudno się dziwić, że przeciw tak długo stosowanej zasadzie: ponieważ szlachcic (lub ksiądz), więc zacny, a ponieważ chłop, więc zwierzę, stanęła na przeciwległym biegunie inna: ponieważ chłop, więc zacny, a ponieważ szlachcic, więc niepoń. Nadmierne wytężenie jednej krańcowości musiało wywołać drugą. Może nigdy bardziej, niż w tym sporze, prawda nie znalazła się po środku. Oba probierze są mylne, czasami niedorzeczne. Ale jeśli drugi ma przynajmniej tę dobrą stronę, że podnieca w nas zanikłą albo raczej nierozwiniętą czułość zmysłu społecznego, który uwrażliwić się musi, pierwszy natomiast pielęgnuje kalectwo i zamawia chorobę przesądnymi gusłami. Gdzie jest na świecie chłop, któryby nie kradł drzewa lub nie oszukiwał, a zarazem gdzie jest szlachta, któraby złożyła w dziejach tyle dowodów sobkowstwa i pogardy dla ludu? A dziś, co jest większem złem: czy fałszowanie śmietany, czy weksłów, czy wypasanie cudzej łąki, czy sprzedawanie ziemi pod zasiew giermanizacyi? Urągamy „naszym poczciwym wieśniakom;“ oj ostrożnie, bo gdyby oni zaczęli urągać naszym poczciwym panom... Tylko na szczęście nie znają historyi i nie wiedzą, co się dzieje za granicami ich gminy.

„Nasi poczciwi wieśniacy“ nie mają nawet pojęcia o tych środkach zarobkowania, jakich używają „nasi poczciwi mieszczanie.“ Przed kilku dniami — według opowiadań *Kuryera warsz.* — odbywała się w magistracie licytacya dzierżawy miejsc na placach publicznych do sprzedaży produktów żywności. Otóż uorganizowała się banda, która jedynie za opłatą dopuszczała pragnących pozyskać miejsca lepsze. Kto nie złożył haraczu, odprawadzano go przemocą lub wszczynano bójkę i oskarżano przed policyą, a zanim osaczony wytłomaczył się w cyrkule, cel jego starań przechodził w posiadanie protegowanego szajki. Jeden z wytrwałych zniósł ukłucia szpilką w plecy, oparł się odciąganiu, ale nareszcie uderzono go kijem po rękach i zatkano usta, żeby nie krzyczał. Walczącego odprowadzono do cyrkułu, skąd naturalnie został wypuszczony, ale miejsce stracił. Podobno nawet członkowie bandy byli ubrani jednakowo — w popielate czapki. „Nasi poczciwi wieśniacy“ tego jeszcze nie umieją.

Jak wiadomo, Zwierzyniec warszawski przeszedł na własność spółki komandytowej. Jej przedstawiciel firmowy, p. J. Kamiński przedstawił publicznie warunki i stan tego przedsięwzięcia. Ostatecznym wnioskiem jego wywodów, w którym tkwi los instytucyi, jest potrzeba poparcia jej przez ogół. „Rachunek jest prosty i jasny— powiada p. K. Jeden człowiek, mający w takiem przedsiębiorstwie kilkadziesiąt tysięcy rubli, w znacznej części nieswoich, jeśli pobierze od nich to, co pobrać zdoła, tj. 6%, a znacznie więcej zapłacić jest zmuszony, pomimo najlepszych chęci, długiego żywota protegowanemu dziecięciu wróżyć nie może. Inna rzecz, jeżeli dostarczycielami będzie kilkaset osób. Obywatel, choćby tylko średniej zamożności, mając od stu lub kilkuset rubli swoich własnych nie więcej niż 6% (przypuśćmy, że mniej nawet), nie będzie miał jeszcze do tego lez powodu, jeśli sam kapitał, oparty na realnym majątku, dostatecznie jest zabezpieczony. Niekorzystną kilkurublową różnicę procentową w stosunku do innej, bardziej zyskownej lokacyi, wynagrodzi mu zadowolenie, iż jest współwłaścicielem pięknego domu i ogrodu, gdzie jego i jego współobywateli dzieci na żywą przyrodę patrzeć i naukę z niej czerpać będą... Oto — kończy p. K. — instytucya pożyteczna, gotowa i żywotna. Zwraca się ona do was, zacni obywatele i powiada: bawić i uczyć będę dzieci wasze, ale wyzwólcie mnie z rąk filantropów i lichwiarzów, dajcie pieniędzy na 6%, a będę waszą wieczyście i jawnie z wykazu hypotecznego.“

Słowa te są dosyć wymowne i przekonywające, ażebym ich wzmacniać własnemi potrzebował.

P. Ochorowicz w zakończeniu swej niezmiernie wesołej walki z „krucicą d-ra Szumlańskiego,“ „wiatrówką d-ra Zawiszy“ i „strzałami“ *Gazety lekarskej* powiada, iż z wieży kościoła paryskiego Notre-Dame, wyciągnąwszy ręce, zahypnotyzował tutejsze Towarzystwo lekarskie i poddał mu myśli niedorzeczne względem siebie. Może odjeżdżającemu nie wypada zadawać kłopotliwych pytań, ale niechże choć z wieży Notre-Dame odpowie nam: jacy to są jeszcze w Warszawie „bezstronni i poważni lekarze, których zdanie on wysoko ceni,“ jeśli „panowie szpitalni,“ grono *Gazety lekarskiej*, wreszcie członkowie Towarzystwa lekarskiego zdolni są zaledwie łechtać humor szan. hypnotyzera? Bo może drabinę medycyny warszawskiej trzeba odwrócić dolnym końcem do góry...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Dola i stanowisko społeczne farmaceutów. — Środki podniesienia ich poziomu umysłowego i materyalnego, — Odszczepieńcy w szlachcie. — Jak p. „Maruda“ rozmawiał z dziewką wiejską i co się od niej dowiedział. — Szala chłopska przeważyła. — Wykształcenie „wszechstronne“ szlachcianek i światłowstręt szlachecki. — Na co są pieniądze, a na co ich niema.

W naszych stosunkach najmniej praw obywatelskich i towarzyskich wyrobili sobie farmaceuci. Lekceważenie powszechne nie pozwoliło nawet wyższym umysłowo pomyśleć o ich przerodzeniu. Dopiero w tym roku jedno z towarzystw farmaceutycznych bolejąc nad dolą swych towarzyszów, zwołało komisyę i opracowało projekt doniosły. Dla poparcia swych żądań wnioskodawcy przedstawili smutny obraz położenia. Z początku — powiada — kroczymy na równi z innymi, zasiadamy z nimi na jednej szkolnej ławie, lecz wkrótce się rozchodzimy. Ci, co się poświęcą innym zawodom, mają możność dalej się kształcić i bardziej ulegają wpływowi postępu, niż my. Od chwili opuszczenia szkoły i przekroczenia progów apteki, chociaż jesteśmy nadal uczniami, nie możemy nawet tego się uczyć, co jest przedmiotem naszego zawodu, a cóż mówić o przedmiotach ogólnie kształcących? Od najmłodszych lat jesteśmy robotnikami dla wyłącznej korzyści gospodarza, a nie pożytecznymi członkami społeczeństwa.“ Położenie wyrobników aptekarskich istotnie z dniem każdym się pogarsza, cena płacy ich niesłychanie spada, tak dalece, iż pomimo nadzwyczajnej oszczędności żaden z nich nie może istnieć o własnych siłach w czasie przygotowywania się do stopnia pomocnika lub prowizora. Co wywołało tak fatalne położenie owej klasy ludzi? Oto zasadnicze przyczyny: Do zawodu aptekarskiego dotąd wystarczały tylko cztery klasy gimnazyalne, a nawet znaczny procent chronił się tam zbiegów z trzeciej klasy: bardzo mało pośród farmaceutów znajdzie się pięcio lub sześcioklasistów. Każdy z tych młodzieńców pogrąża się w czynności mechanicznej, pozostawiając na ostatnim pla-

się stronę naukową. I trudno też od nich wymagać czegoś więcej — np. wykształcenia humanitarnego, rozwoju strony moralnej itd. Nie dziw, że w takich warunkach młodzieniec spaczony traktowaniem swego chlebodawcy, zdobywszy stanowisko samodzielne, sam się staje tyranem dla swych pracowników. Nie dba o to, aby jego praktykant w ciągu trzech lat przysposobił się na pomocnika. Prawie wszędzie aptekarze przez długi czas używają uczniów do roboty wyłącznie mechanicznej, nie mającej nic wspólnego z zawodem farmaceutycznym. Nie wiele jest lepszy kierunek i położenie tak zwanego „pomocnika“ przed uzyskaniem stopnia prowizora. Przez cały czas pobytu w aptece nie zdobywa on żadnego teoretycznego wykształcenia, a wiadomości z laboratoryum bardzo rzadko, gdyż mu brak na to czasu i środków. Rezultatem rozwoju handlu aptekarskiego jest silne przeładowanie pracą. Prowizorowie i pomocnicy obowiązani są pracować od 8-ej rano do 10-ej wieczorem, tj. 14 godzin dziennie, sześć dni z rzędu w tygodniu; nadto muszą pełnić służbę nocną mniej więcej co czwarty dzień i następnie czuwać cały dzień po bezsennej nocy. Łatwo pojąć, jak taka maszyna żywa spełnia swe powinności tam, gdzie potrzebna jest ciągła przytomność umysłu.

Towarzystwo farmaceutyczne, podnosząc kwestyę polepszenia bytu pomocników aptekarskich, kładzie nacisk na podniesienie ich poziomu umysłowego i wyrwanie aptek z pod dozoru lekarzy, jako niespecyalistów. Następnie zwraca uwagę na wadliwe wewnętrzne urządzenie, np. istnienie aptek „filialnych,“ składów aptecznych, dalej — na całe szeregi nieprawnych farmaceutów. Jest to najnieszczęśliwsza klasa robotników — ofiary obecnego ustroju aptecznego. Jako nielegalni, otrzymują niesłychanie liche wynagrodzenie. W ostatnich czasach namnożyło się ich tylu, że nie na żarty podkopują byt pomocników aptekarskich. Do *nieprawnych* zaliczeni są właściciele i dzierżawcy aptek nienależących do cechu. Jako środki zaradcze komisya Tow. farmaceutycznego zaleca: 1) żądać od uczniów aptekarskich ukończenia klas sześciu, przyczem po trzech latach następnie nowi uczniowie powinni przedstawić świadectwo z ukończenia siedmiu, a jeszcze po trzech latach — patent dojrzałości; 2) urządzić oddziały farmaceutyczne przy medycznych; 3) farmaceutom słuchającym wykładów uniwersyteckich dać prawa, z których korzystają studenci; 4) ograniczyć ich pracę w aptekach do 12 godzin, licząc w to dwie godziny wypoczynku; 5) po trzech dniach pracy czwarty dać na wypoczynek; 6) w aptekach mających 25 tysięcy recept rocznie, powinien być specyalny pracownik nocny. Dalej komisya radzi utworzenie instytucyi farmaceutycznej, zaś dla kontroli tej władzy— wyższy nadzór, *Komitet farmaceutyczny* przy departamencie medycznym. Inne warunki: wszystkie apteki *filialne* powinny być zamienione na *normalne*, z wyjątkiem oddziałów, otwieranych chwilowo w czasie jarmarków lub przy zakładach kumysowych i wodoleczniczych podczas lata. Zarządzać aptekami powinni tylko prowizorzy. Osobom niefachowym należy zabronić pracować w aptekach, posiadać je, dzierżawić itd. Projekt powyższy władza podobno przyjęła przychylnie, a więc możemy oczekiwać ważnych zmian dla ogółu.

Od pewnego czasu ciekawy daje się spostrzegać objaw. Coraz więcej śród szlachty mnoży się odszczepieńców, przestających wierzyć w nieskazitelność i przodownictwo swej klasy, nawet są tacy zuchwalcy, co nie wahają się kłaść na szali zalet swych braci obok chłopskich i wołać głośno o przewadze tych ostatnich. Jakiś *Maruda* opowiada w *Gaz. radomskiej* o 15-letniej dziewce włościańskiej, którą dopędziwszy na drodze, zabrał na bryczkę i zawiązał z nią rozmowę, chcąc się dowiedzieć szczegółów o życiu domowem ludu:

— Tatulo mój — mówiła dziewczyna — mają 30 morgów gruntu, ale nie bardzo dobrego. Zasiewają żyta 6—8 korcy, 5 owsa, trochę grochu, tatarki i sadzą kartofle. Koniczynę siejemy, ale nie chce rodzić, za to łąki aż dwie morgi i siano dobre. Koni mamy dwa, trzy krowy i troje młodych, a także 12 owiec. Dzieci jest wszystkich dziesięcioro; sześcioro jeszcze małych, bo najstarsze dopiero owce pasie. Młodsza ode mnie siostra jest w służbie u krewniaka. Zgodziła się do pasania, za co płacą jej dziesięć złotych na rok i „szmaty,“ ale bez prania. Troje nas starszych siedzimy z ojcami i razem pracujemy.

— A dużo też zbieracie zboża i wiele macie pieniędzy?

— Żyta zbieramy 12—16 kóp, stosownie do tego, czy lepszy czy gorszy jest rok, a każda kopa daje 3—4 korcy; z tego mało idzie na sprzedaż; bo jak się kartofle nie urodzą, to prawie wszystko w domu się spożytkuje. Tyle tylko się sprzeda, co na podatek, którego tatulo płacą na wiosnę 10, na jesieni 8 rubli. Prócz tego kupujemy sól, naftę, obuwie i chusteczki na głowę, bo resztę przyodziewku to się w domu robi przez zimę. Pieniędzy tatulo nie mają, bo i z czego by mieli? Jak uchowają parę ciołków i sprzedadzą, to trzeba kupić konie albo wóz nowy i pieniądze się rozejdą, a o zarobek teraz trudno i mniej płacą niż dawniej.

Miły Boże! — woła p. Maruda — gdyby to nasze piętnastoletnie dziedziczki miały chociaż takie pojęcie o finansowej stronie gospodarstw swych rodziców, możeby niejedna poszła w świat zarabiać na swe utrzymanie lub pracą w gospodarstwie domowem ulżyła. Ale my, ojcowie, poświęcamy ostatni swój, a częściej pożyczony grosz na „wszechstronną“ (?!) edukacyę swych córek, a sami uszczuplając na niezbędne potrzeby gospodarstwa, marniejemy z każdym dniem i na stare lata najczęściej nie mamy własnego schronienia. A córki nasze? Te mają wszechstronną edukacyę, która u ludzi rozsądnych nazywa się „brakiem wykształcenia,“ a u rozsądnych mężów „wychowaniem lalki do ubrania pustych salonów.“

Zdaje mi się, że trochę przesadza p. M., przypisując tak wielką gorliwość szlachcie w ukształceniu córek. Należy tu jednak potępiać nie chęć oświecania, ale fałszywy kierunek światła, ślizgającego się tylko po głowach panien wiejskich. Zupełnie inaczej mówią o „jasnych“ faktach w Płockiem. Pisałem przed kilku miesiącami o niepewnym losie szkoły realnej w Lipnie. Chwiała się ona wtedy, ale była jeszcze nadzieja utrzymania jej przez ziemian okolicznych. A teraz .. proszę posłuchać, jak jeden z zarządzających przemawia nad grobem zakładu: „Najlepsze chęci komitetu szkoły rozbić się musiały o obojętność naszych obywateli. Jesteśmy zatem zmuszeni po siedmioletniej działalności, dla braku funduszów zakład zwinąć i to w chwili, kiedy przy ograniczeniu liczby uczącej się młodzieży w gimnazyach rządowych, a tem samem trudności dostania się do nich, szkoła ta byłaby najbardziej pożądaną i pożyteczną.“ Dwie odezwy ogłoszone w pismach odniosły taki skutek, że ledwie kilka deklaracyj nadesłano, a reszta kieszeni, nawet zamożnych obywateli, pozostała zamkniętą. „Chociaż się dają słyszeć głosy, że ogólna bieda i brak pieniędzy są tego przyczyną — mówił przyzydujący — niechaj mi wolno będzie zaprzeczyć. Pieniądze znalazłyby się; na przyjemności bowiem nie braknie ich nigdy. Gdy zasiadamy np. do zielonego stolika, gdzie nieraz różnica kilkadziesiąt, a nawet i więcej rubli wynosi, o biedzie nikt nie wspomni i pieniądze są wtedy na każde zawołanie; na buteleczkę w wesołej kompanijce i inne uciechy również nie brakuje.“ Gdyby wszyscy, którzy początkowo zobowiązali się wnosić składki na zakład naukowy, czuli się w obowiązku uiszczać je regularnie, szkoła byłaby się nietylko utrzymała, lecz możeby nawet znacznie się rozwinęła i o własnych nadal istniała siłach.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Z Zurychu otrzymaliśmy szczegóły, dotyczące dwóch wyższych zakładów naukowych: politechniki i uniwersytetu; podajemy wiadomości ważniejsze. Politechnika zawiera następujące wydziały: 1) budowniczy z kursem trwającym 3 i pół roku, 2) inżenierski 3 i pół r., 3) mechaniczno-techniczny 3 i pół r., 4) chemiczno-techniczny 3 lata, 5) farmaceutyceny 2 lata, 6) leśny 3 lata, 7) agronomiczny 2 i pół roku, 8) matematyczny 4 lata, 9) przyrodniczy 3 lata. Wykłady w języku niemieckim, opłata 110 fr. rocznie. Pracujący zaś w laboratoryum chemicznem lub fizycznem płacą prócz tego 45 fr. za półrocze. Kandydat, który nie skończył zakładu średniego lub nie posiada żadnych świadectw szkolnych, składa egzamin ogólny i specyalny: 1) krótkie wypracowanie na zadany temat w języku niemieckim, francuzkim, włoskim lub angielskim. Egzamin z języka niemieckiego, z literatury (znajomość głównych utworów jednej z literatur nowożytnych, np polskiej lub starożytnej), historyi powszechnej i naturalnej; 2) arytmetyka i algebra (kurs naszego gimnazyum filologicznego), geometrya, trygonometrya (kurs gimn.), elementarne wiadomości z geometryi analityczzej, geom. wykreślna (kurs szkoły realnej), fizyka (kurs gimn.) i chemia nieorganiczna w zakresie elementarnym. Posiadający patent z ukończenia gimnazyum lub szkoły realnej są uwolnieni od egzaminu ogólnego i od części specyalnego. Posiadający świadectwa z wyższego zakładu naukowego lub z kilkoletniej praktyki w zakładzie przemysłowym przyjmowani są bez egzaminu. Uniwersytet posiada wydziały: lekarski, filozoficzny (z sekcyami przyrodniczą i matematyczną), prawny, filologiczny i teologiczny. Długość studyów zależy od woli studenta. Egzaminy doktorskie składać można po 4 latach, na innych wydziałach po 3. Wykłady w języku niemieckim. Kandydaci przyjmowani są bez egzaminu, jeśli posiadają dostateczne świadectwa szkolne (z sześciu klas wystarcza). Do obu zakładów wstępować mogą i kobiety na tych samych warunkach.

— Prośby o przyjęcie do wyższych instytucyj naukowych od nowego roku szkolnego podawane być winny przez uczniów, którzy ukończyli gimnazyum lub szkoły realne, nie bezpośrednio do wyższych zakładów, lecz na ręce dyrektorów szkół, w których ukończyli nauki. Dyrektorowie otrzymane podania odeślą według adresu z dodatkiem swojej opinii o prowadzeniu się kandydata.

— Starozakonni, którzy w roku bieżącym ukończyli gimnazya w Odesie, zasięgali w Petersburgu wiadomości, czy mogą być przyjęci w poczet studentów wydziału lekarskiego w Tomsku. Ministeryum wychowania publicznego odpowiedziało, iż w uniwersytecie syberyjskim może być tylko 5% żydów.

— Z zalecenia departamentu lekarskiego prywatni nauczyciele farmacyi opracowali projekty programu wykładów dla przyszłych kursów farmaceutycznych żeńskich.

— Podanie o przyjęcie w poczet uczniów szkoły technicznej pocztowo-telegraficznej w Petersburgu przyjmowane będą do d. 13 sierpnia r. b.

Zapis. Zmarły w tych czasach w Charkowie profesor uniwersytetu. Łaszkiewicz, zapisał tamtejszej wszechnicy oraz na rozmaite cele naukowe około 40,000 rs. Bibliotekę lekarską zapisał uniwersytetowi w Tomsku

Wylewy. Z Rybińska donoszą, iż skutkiem ciągłych deszczów woda w Wołdze i Szeksnie wezbrała. Pola i łąki nadbrzeżne zalane.

Zakaz. Zarząd miejski w Petersburgu wydał zakaz, aby felczerowie i akuszerki nie puszczali krwi bez piśmiennego pozwolenia lekarza. Zakaz ten będzie zastosowany w całem państwie.

Mieszkania dla robotników. Kapitaliści niemieccy zawiązali towarzystwo udziałowe budowy tanich

mieszkań dla robotników i starają się o założenie filii w Rosyi.

Jaki cel ma p. Kajetan Kraszewski w rysowaniu swej „Tablicy graficznej prawdopodobnych zmian pogody,“ a *Gazeta rolnicza* w wydawaniu taj zmarnowanej pracy — nie pojmujemy. Gdyby bowiem ktoś przeprowadził sobie przez dnie trzech miesięcy dowolne linie, wróżąc, jak mówi Jowialski „od śliny,“ nie chybiłby częściej i nie zgadł rzadziej. Dość powiedzieć, że np. od 22 do 26 lipca p. Kraszewskiemu wypadła „dążność ku słocie,“ kiedy właśnie panowały największe skwary.

Bibliografia. *Wisła*, zeszyt 2 t. II. Zeszyt ten jak poprzednie bogaty treścią i nosi na sobie ślad umiejętnej redakcyi Karłowicza.

— D. Zimorowicz, *Nie w porę*, nowela, Kraków, str. 35.

— M. Dubiecki, *Historya literatury polskiej*, zeszyt 8.

— K. Estreicher, *Bibliografia*, zeszyt 5, 6 i 7 tomu IX (wiek XVIII).

— *Sekcya fizyczno-chemiczna* wystawy hygienicznej w Warszawie, zeszyt I, str. 101.

— Dr. S. Goldflam, *Zur Lehre von der multiplen Neuritis* (odbitka z *Zeitschr. f. klin. Med.*), str. 32.

— W. Trzcińska, *Przygody Mateusza Jarząbka*, powiastka nagrodzona na konkursie *Gaz. świąt.*, Warszawa, str. 32.

— Z. Gloger, *Zwyczaje doroczne*, 110 pieśni zwyczajowych, Warszawa, Prószyński, str. 61.

— W Krakowie wyszedł drukiem Anczyca, nakładem Macierzy polskiej, *Pan Tadeusz* Mickiewicza, za 10 centów, z portretem autora.

— W Petersburgu nakładem Pantalejewa wyszedł tom I-y *Dziejów Polski* prof. M. Bobrzyńskiego w przekładzie ruskim, dokonanym pod kierunkiem prof. Karejewa.

Akcyza od zapałek, obliczona na podstawie zapasu ich w chwili wprowadzenia w życie tego podatku, wyniosła około 800,000 rs.

Śniegi i zimna niebywałe srożą się obecnie na drugiej półkuli. W New-Fundlandzie podczas orkanu śnieżnego termometr spadł na kilkanaście stopni niżej zera. W Nowej Anglii śnieg leży na 6 cali grubości. W wielu miejscowościach burze poczyniły ogromne szkody.

Rizskij Wiestnik donosi, że w różnych miejscowościach kraju Nadbałtyckiego urządzono latem r. b. wykłady języka ruskiego dla nauczycieli szkół elementarnych.

Kolej Władykaukazką d. 7 lipca otwarto dla ruchu osobowego i towarowego od Ekaterynodaru do Noworosyjska. Przestrzeń ta wynosi 698 wiorst.

Pisarze gminni wprowadzeni będą na stały etat, w celu zapewnienia im praw służbowych i emerytalnych.

Grad. W początkach b. m. we wsi Wozdwiżenskoje, w gub. twerskiej, spadł grad wielkości jaja kurzego. Śledem ziarnek po godzinnem tajeniu ważyło jeszcze przeszło funt.

Konkursy. Lwowskie towarzystwo śpiewackie „Lutnia“ ogłasza konkurs na napisanie utworu chóralnego. Ma on być skomponowany w formie pieśni, na trzy lub cztery głosy, na chór męzki, żeński lub mieszany z towarzyszeniem fortepianu lub bez tegoż. Długość utworu nie powinna przekraczać pięciu minut. Adres: Zarząd „Lutni,“ Lwów, ul. Grodzkich, nr. 4. Ostateczny termin 20 września r. b. Wszystkie nadesłane utwory, z wyjątkiem tych, które zupełnie warunkom konkursu nie odpowiedzą, wykonane będą na nadzwyczajnym koncercie „Lutni“ bez wymienienia nazwiska autorów. Ostateczny sąd komisyi konkursowej zapadnie potem. Najlepszy otrzyma jako pierwszą nagrodę $^2/_3$ czystego dochodu z koncertu (zapewnione 30 złr.), drugą stanowi $^1/_3$ czystego dochodu (zapewnione 20 złr.). Nadto komisya wyróżniać będzie utwory wzmianką zaszczytną. Prawa autorskie pozostaną przy kompozytorze.

— Jazdę ruską postanowiono zapoznać dokładnie z telegrafami i zaopatrzyć w sygnały świetlane. Ponieważ żadnego z istniejących telegrafów optycznych nie uznano za odpowiedni, departament wojny ogłosił w *Ruskim Inwalidzie* konkurs na wynalezienie telegrafu optycznego, któryby zadość czynił wymaganiom. Nagroda 1,000 rs. Jednocześnie ogłoszono konkurs z nagrodą 300 rs. za napisanie podręcznika o telegrafach wojskowych dla żołnierzy.

Nowe pismo. P. M. Romiszewski otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie czasopisma p. t. *Sport*, poświęconego sprawom sportowym.

Pamiątkowe pieniądze. Monety, bite za krótkiego panowania cesarza Fryderyka, są rozchwytywane. Dwumarkówki nowego stempla są wykupywane po znacznie wyższej cenie na pamiątkowe ozdoby biżuteryjne.

Służba wojskowa. Dotychczas na mocy obowiązujących przepisów prawo do przywilejów i przedłużenia terminu wstąpienia do służby wojskowej mieli tylko ci młodzi ludzie, kształcący się w obcych zakładach naukowych, których rodzice z obowiązku przebywać muszą za granicą. Obecnie, według nowego uzupełnienia, dopuszczeni są do tych ulg i inni kształcący się za granicą, którzy obowiązani są przedstawić poświadczenie przez ruskie poselstwa lub misye świadectwa o dobrem prowadzeniu się i pilności w naukach.

W Wiedniu przy Akademii sztuk pięknych utworzyło się Towarzystwo słowiańskie, do którego jako członkowie należą czesi, słowacy, chorwaci, rusini galicyjscy i serbowie dalmaccy. Komitet wykonawczy zwrócił się do wszystkich artystów-słowian z propozycyą zapisania się do Towarzystwa. Dotychczas używany jest tam język czeski, w przyszłości zaś ma zapanować „ogólno-słowiański język literacki.“

Zmarli. Dr. Stanisław Waryński, lat 33, znany z samodzielnych prac naukowych. Pochodził z Ukrainy. W Genewie pracując jako asystent przy profesorach uniwersytetu, porobił cenne doświadczenia, szczególnie w zakresie embryologii i różnych zboczeń organicznych.

— Józef Bełza, przyrodnik-technolog, w Warszawie.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Іюля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.